Rok III. Kraków, dnia 20 Marca 1884 r. Nr. 6.

PRZEGLĄD LITERACKI I ARTYSTYCZNY

pismo poświęcone literaturze, sztuce i sprawom społecznym.

PRENUMERATA.
W Krakowie: *rocznie 6 złr., półrocznie 3 złr., kwartalnie 1 złr. 50 ct.*
Z przesyłką w Austryi: *rocznie 6 złr. 50 ct., półrocznie 3 złr. 25 ct., kwartalnie 1 złr. 63 ct.*
W Wielkopolsce: *z przesyłką rocznie 12 Mrk., półrocznie 6 Mrk., kwartalnie 3 Mrk.*

Główny współpracownik **K. Bartoszewicz.**
Wydawca i redaktor odpowiedzialny **Jan Blaschke.**
Adres Redakcji i administracji:
K. Bartoszewicz w Krakowie
Rynek, Hotel Drezdeński.

Rękopisma nie zwracają się.
Inseraty po 10 ct. od wiersza petitowego, następne po 5 ct.
Cena pojedynczego numeru 30 cnt.
Przegląd wychodzi każdego 5go i 20 dnia miesiąca i obejmuje półtora arkusza druku z dodatkiem rysunku lub autografu.

PRZEKŁADY Z MIRZA-SZAFFY.

I.

Zawsze mądry człek baczy,
Aby nie stracić miary:
Gdy młody, — nie dziwaczy,
Nie szaleje, gdy stary.

Zima kwiatów nie rodzi
Lato nie daje lodu.
Staremu nie uchodzi,
Co nam wolno za młodu.

Za młodu martwić ciało
A rozszaleć w starości,
Dobrem się nie wydało
Czcicielowi mądrości.

Bod. str. 57.

II.

Śmiać się mam czy łzy wylewać,
Że najwięcej głupich ludzi,
Każdy cudze rad odgrzewać,
Sam pomyśleć się nie trudzi.

Podziękować Stwórcy raczej,
Że nie szczędził głupców tłumu,
Bo u mędrców byś inaczej
Nie dopatrzył się rozumu.

Bod. str. 60.

III.

Kiedym śpiewał: Ciesz się z wesołymi,
Przed możnymi nie gnij się do ziemi,
Z podwładnymi nie postępuj z pańska,
Mówił każdy: w tem mądrość niebiańska!

Kiedym działać pragnął w tym sposobie,
Zaraz każdy rzekł, że głupstwo robię.

Bod. str. 172.

IV.

Wolę gwiazdę bez promieni,
Niż bez gwiazdy promienie.
Wolę złoto bez kieszeni,
Niż bez złota kieszenie.
Wolę perłę bez muszelki,
Niż bez perły muszelkę.
Wolę wino bez butelki,
Niż bez wina butelkę.

str. 120.

V.

Późnym wieczorem do domu kroczył,
Przebrawszy miarę chwiał się i toczył,

KRONIKA.

W zaginionym rękopisie z XV. w. Marcina Ostrygi czytam co następuje:

Była sobie przed wielu, a wielu laty nadobna panna Delegacja, miała ona wielkie księstwo a w niem dużo poddanych, obfitość skarbów ziemnych, kopalnie nafty, co przy wrodzonych wdziękach i zupełnej niewinności czyniło z niej bardzo dobrą partję. Gaciunia przesiadywała za granicą, gdzie mile była widzianą przez wysokie sfery, a zwłaszcza przez młodzież palącą do niej koperczaki.

Nareszcie pan C. K. oświadczył się z dozgonną miłością i został przyjęty. Ślub odbył się wspaniale na koszt Gaciuni i nastały miodowe miesiące pełne szeptów, całusów, miłosnych spojrzeń, westchnień, rumieńców... Pan młody był tak czuły, tak słodki, że Gaciunia oddała mu się całem sercem i pozwoliła rządzić swojem księstwem, dając mu zupełną swobodę działania.

Miesiące miodowe przeminęły. Dochodzą Gaciunię wieści, że pan C. K. mało uważa na życzenia jej poddanych, próśb ich nie słucha i nie uwzględnia. Gaciunia czyni mu lekką wymówkę. Słodki całus zamknął skarżące się usta, a kilku poddanych Gaciuni otrzymało po wstążeczce i po złotym kluczyku, co ich tak rozweseliło, że panu C. K. bili hołdy, a Gaciunię nazywali najrozumniejszą istotą pod słońcem.

W parę lat czy miesięcy później dowiedziała się Gaciunia, że jej bogactwo naftowe jest zachwiane w skutek postanowień małżonka. Gaciunia uczuła ból w piersi, rozpłakała się w swoim buduarze, ale otarłszy łezki uśmiechnęła się do wchodzącego męża i pana. C. K. ze śladu łez odgadł ich przyczynę, zapewnił Gaciunię o swojej miłości, ucałował rączęta, kupił parę kolczyków brylantowych, a poddanym jej posłał parę gwiazdek i krzyżyków. I znów rozczulano się nad mądrością Gaciuni i wspaniałomyślnością jej małżonka.

I lubo Gaciunia coraz więcej miała powodów do uskarżania się, lubo włościanie jej, ekonomowie, rządcy, szlachta czynszowa, hrabiowie, baroni, kupcy, przedstawiali opłakany stan interesów majątkowych, Gaciunia coraz mniej odczuwała ich jęki i boleści i dawała dowody bezprzykładnej małżeńskiej uległości i ślepego posłuszeństwa.

Ale wszystko ma swój koniec. Gaciunia miała jedną wadę: lubiła gorzałczynę. Wada ta była wspólną wszystkiej prawie ludności kraj jej zamieszkującej. Cenili oni prawo taniego nabywania wódki nad wszelkie inne przywileje. Każdy hrabia lub baron, w księstwie Gaciuni zamieszkały, sam wyrabiał wódkę i był tej wódki szynkarzem. Gaciunia sama wszędzie trzymała propinacye i słynęła nawet z wyrobu rosolisów. I na ten jej przywilej, na to najdroższe dobro, wobec którego znikały szkoły, koleje, kopalnie nafty oraz wszelkie prawa konstytucyjno-autonomiczne, na ten przywilej targnął się pan C. K. Gaciunia wzburzyła się, ostre słowa z ust jej wyszły i dała do zrozumienia małżonkowi, że z powodu braku

Upadł w kałużę, westchnął pijany:
„W zepsuciu cały świat pogrzebany.“

Człek silnej wiary! Gdy się obali,
Myśli, że świat z nim w gruzy się wali.
str. 155.

Z MIŁOŚCI.

BALLADA, JAKICH WIELE.

przez

Teodora Jeske-Choińskiego.

Ciąg dalszy.

— Mogłbyś już raz przestać — mruknąłem.

— Patrz! Naprzód szum, piana, łoskot, to — pierwszy wybuch miłości — prawił węgier, niepozwalający się zbić z tropu— potem szalony wir, to — roskosze tej namiętności; dalej równy, poziomy bieg, przerwany tu i ówdzie kamieniem, leżącym wśrod drogi; to — jednostajność pożycia małżeńskiego, urozmaicona od czasu do czasu scenką rodzinną. Czy widzisz tam w dali tę olbrzymią skałę, której potok nie może ani przemódz, ani ominąć?

— Widzę. I cóż z tego?

— Nic, tylko to, że się prąd o pierś tej skały rozbija, rozdzielając się na dwie odnogi, z których każda płynie sobie dalej samopas innem łożyskiem. Ta skała to przeciwieństwa w charakterze małżonków lub też przepisy i wymagania społeczne. Gdy pierwszy szał przedymi, a miejsce samolubnych uciech zajmą obowiązki, wtedy...

— Wtedy wypełnia je człowiek uczciwy i na tem basta — przerwałem zniecierpliwiony. Słuchając ciebie, zdawałoby się, że kula ziemska jest wielkiem więzieniem, a ród ludzki bandą opryszków. Co do mnie, znałem wiele małżeństw szczęśliwych, choć nie opływały w dostatki. Człowiek jest sam swego losu twórcą.

— Zapomniałeś o okolicznościach, które pracy jego towarzyszą. Lecz może ty lepiej widzisz odemnie; może wam będzie dobrze w małym domku; może wam wystarczą skromne dochody młodego inżeniera. Nie będąc żonatym, nie mogę być w tym razie sędzią. A może ci okoliczności będą sprzyjały; może, może...

Machnął ręką i dodał:

— Zbytni rozum nie daje także szczęścia, jak się przekonałem na sobie. Życie ludzkie — to hazard, albo tabliczka Pytagorasa. Próbuj więc! Może tobie przeznaczono wygrać na loterji, kiedy liczyć nie umiesz i nie chcesz. Lecz jeżli ci się ryzyko nie uda, wtedy...

— O czem panowie tak poważnie rozprawiają? — zawołała w tej chwili «ona» swym srebrnym głosikiem.

— Radziłem właśnie panu Terenkoczemu, aby został księdzem i zaciągnął się w szeregi misjonarzów, a nawróciłby bez wątpienia najzatwardzialszego poganina — wyrzekłem.

— Zmiłuj się, wolałbym umrzeć, niż pozbyć się mych wąsów grenadjerskich, — bronił się węgier.

Roześmialiśmy się wszyscy.

— Zdaje się, że już czas powrócić, jeżli się mamy jeszcze dziś piąć na Kynast, — odezwała się pani Rokitnicka.

Rzeczywiście, południe dawno minęło, a do starożytnego zamczyska wiodła stroma, uciążliwa droga. Chcieliśmy pożegnać okolice Warmbrunn z balkonu Kynastu.

Usadowiwszy panią Rokitnicką u stóp góry w wygodnej lektyce, rozpoczęliśmy pochod. Terenkoczy towarzyszył matce, a my, młodzi, pobiegliśmy przodem. Zrazu nie przedstawiała droga żadnych trudności, bo wzgórze odłączało się łagodnie od doliny, wznosząc się linją falistą. Lecz minąwszy podnóżek olbrzymiej piramidy, musieliśmy się piąć w pocie czoła.

Zatrzymywaliśmy się co kilkanaście minut, aby otrzeć rzęsiste krople, spływające nam po twarzy, aby płucom trochę pofolgować.

Chciałem Jadwidze podać ramię, lecz ona podziękowała za grzeczność. Od kilku dni rozmawiała ze mną w ogóle bardzo mało, a i ja nie umiałem nawiązać dawnego szczebiotu. Spoglądaliśmy na siebie dużemi, jakby zdziwionemi oczami, a gdy się przypadkiem dotknęliśmy ręki lub ubrania, odsuwaliśmy się szybko od siebie. Każde dotknięcie wywołało we mnie słodko-bolesne dreszcze, przebiegające błyskawicą od stóp do mózgu. Jestem przekonany, że i ona odczuwała to samo, bo bladła i spuszczała oczy.

Pełne słońce lipcowe stało jeszcze wysoko na niebie, a choć lasy wieńczące Kynast ciemno-zieloną opaską, osłabiały jego siłę, nie dopuszczając do nas wszystkich promieni, potnieliśmy jednak, jak na wolnem polu, męcząc się mozolną wędrówką.

W połowie drogi zabrakło dziewczynie tchu. Widziałem, jak pracowała piersiami z wielkim trudem.

— Trzeba spocząć, panno Jadwigo — wyrzekłem cichym głosem.

Spojrzała na mnie i osunęła się na siedzenie darniowe, nie odpowiadając ani słowa. Uczyniłem to samo, trzymając się samego brzegu ławki, aby się czasem nie otrzeć o jej sukienkę.

Siedzieliśmy dość długo w milczeniu, zapatrzeni w biały

---

potomstwa rozwód uzyskać będzie łatwo. Na poparcie słów swoich roztłukła trzy wazony i zrzuciła na ziemię cały serwis porcelanowy.

Dalszych szczegółów z pożycia tego małżeństwa nie podają nam dzieje. Przytoczyłem tę historję jedynie dlatego, aby dowieść jak z małych przyczyn wielkie być mogą skutki i ostrzedz tych, który dnia jutrzejszego (piszę w wigilję Śgo Józefa) związki małżeńskie zawrzeć zamierzają, żeby się dobrze namyślili, bo głupstwo łatwo popełnić mogą.

A głupstwo w tych czasach sroży się bardzo. Za przykładem borb w Radzie miejskiej poszły rozmaite Towarzystwa. Od kilku tygodni, kłócą się ludziska jakby nic lepszego do roboty nie mieli. Borba trwała w Towarzystwie tatrzańskiem, borba jeszcze lepsza w Towarzystwie Rolniczem, a zapowiadają jeszcze maleńką awanturkę w Towarzystwie Zaliczkowem. A najwięcej dowodzą professory i doktory filozofji; naród to strasznie wojujący i zajadły, a wszystko to także chude i badylkowate, że Boże zmiłuj się na to popatrzeć, aż człeka żal bierze. Żeby to takie złe nie było, możeby nabrało ciała i było podobne do ludzi. Ale cóż robić kiedy wszystko chcą zniszczyć ogniem i mieczem.

Ostatnie wyrazy przypominają mi odczyty pana hrabiego-professora o najnowszej i do tego bardzo ładnej powieści Sienkiewicza. Co ten powieściopisarz hrabiemu zawinił, nie wiem, ale że ciężko musiał zgrzeszyć to pewno. Porównywać Sienkiewicza z Szekspirem, dać do zrozumienia, że Walter Scott. Wiktor Hugo, Dickens, Thackerny, Balzac, Turgeniew, Dumas są pachołkami przy Sienkiewiczu, mówić, że po Panu Tadeuszu «Ogniem» i mieczem to najpiękniejsze dzieło polskiej literatury [1]) — są to przecie tak grube żarty, że na nie nietylko Sienkiewicz, ale najmniej nawet ulalentowany pisarz nie zasłużył.

Są jednak tacy, co sądzą, iż pan hrabia mówił nie w celu bolesnych i niezasłużonych żartów ze znakomitego powieściopisarza, ale dla podziękowania mu, iż zapisał się do stańczyków, a głównie dla interesu własnego stronnictwa. Proszę bowiem zważyć jak nędzne są dziś szyki literackie stańczyków. Przed niedawnemi czasy żyli jeszcze Fredro, Szujski, Siemieński i inni wybitni przedstawiciele literatury, liczący się

[1]) Kuda kuchti do patyny. *Przyp. zecera.*

piasek, pokrywający z wierzchu górę. Kilkadziesiąt razy podnosiłem głowę, zabierałem się do otworzenia ust, chciałem mówić, ale słowa utkwiły mi zawsze w gardle, a wargi zamknęły się mocniej, drżąc nieprzyjemnie.

Czułem, że byłem śmiesznym. Trzeba było koniecznie coś powiedzieć, choćby jedno zdanie. Zbieram wszystkie siły, oddycham głęboko, kręcę się na ławce, nareszcie...

— Pani wraca za dwa dni do kraju? — pytam cichutko, nieśmiało.

— Wracamy!

Głos jej przepłynął obok mego ucha, jak szelest liścia, który spadał właśnie z drzewa, jak oddech marzącej dziewczyny, jak myśl badacza, schylonego nocą nad księgami. Odczułem go więcej, niż słyszałem.

Patrzę na nią, nachylam się lekko ku niej, zdaje mi się że widzę odblask łzy w jej oku, zasłoniętem do połowy zapuszczoną powieką; zdaje mi się, że pod jedwabistemi jej rzęsami drży coś, jakby perełeczki srebrzyste. Chcę się rzucić przed nią, chcę ją objąć za kolana, i zawołać głośno, aby cały las słyszał: kocham ciebie, kocham! ale jakaś siła przykuwa mnie do miejsca, zasznurowawszy mi krtań, nie mogę się ruszyć.

A ona zrywa się w tej chwili i biegnie znów pod górę, wyrzekłszy stłumionym głosem:

— Chodźmy!

Idziemy, pniemy się, spieszymy się, jakby nas kto ścigał.

— Panno Jadwigo — wołam — zmęczysz się, szanuj się!

Ale ona wznosi się szybko, jak gdyby na skrzydłach płynęła. Widzę, jak biała jej sukienka świeci między drzewami i podążam za nią. Już stoimy na szczycie, już spozierają na nas szare, porysowane mury starożytnego gniazda rycerzów z Kynast, ktore się przez tyle wieków oparło burzom, piorunom, zajazdom i wojnom.

Wchodzimy przez most zwodzony. Głucho odpowiada echo naszym cichym krokom.

Z trwogą rozgląda się dziewczyna wokoło. Kilka wieków patrzy na nią z tych murów popękanych, przedartych tu i owdzie przez połowę potężnym zębem czasu, jakby nie z granitu były zbudowane, jedno z słabej gliny.

Ślady dawnych, średniowiecznych ludzi przemawiają do młodego serca z każdego kamienia, walającego się po obszernym dziedzińcu. A byli to ludzie tak hartowni jak stal, w ktorą się ubierali; tak dumni, jak gory, na ktorych osiadali; tak nieubłagani niejednokrotnie, jak te skały, wśród których mieszkali.

Tam, w środku ruin zionie głęboka, okrągła przepaść. To więzienie panów z Kynastu! Niejedno westchnienie wzbijało się z tej ciemnicy przed tron wielkiego Boga, modląc się o wyzwolenie, ale «ritter» niemiecki nie słyszał prozby, bo weselił się z giermkami swoimi; nie odczuł jej boleści, bo przywykł do jęku umierających na polach bitew, wśród których się wychował. I jego wtrąci sąsiad do takiego lochu, gdy go pokona, przeto wybrał sobie to niedostępne miejsce, aby nie potrzebował ciągle czuwać.

Niedostępne! Dwóch boków broni stroma góra, a trzeciej bezdenna przepaść, spadająca prostopadle tuż przy murze. Na dole szumi wodospad, pieniący się po kamieniach. Kto się z niego stoczy, ten nie wróci już między żywych, aby dosiadł konia i pomścił krzywdę swoję.

Tłomaczę to wszystko Jadwidze. Znałem Kynast jeszcze z czasów studenckich i wszystkie legendy, unoszące się dotąd nad gruzami zamczyska.

Ona, przerażona ogromem ruin i grozą opowieści, opiera się na mem ramieniu, przytula się do mnie, pieściwie, ufnie jak dziecina.

Prowadzę ją na piętro, na balkon kamienny. Wrony, kruki i wroble, spłoszone łoskotem odłamów skalnych, kruszących się pod naszemi stopami, wybiegają z swych gniazd, usłanych w szczelinach, wzbijają się w powietrze i krążą nad basztami z głośnym krzykiem.

Stajemy na balkonie. Ztąd biegnie oko daleko, aż do górnej Luzacji. Wokoło piętrzą się góry, szumią jodły i sosny; nad nami uśmiecha się błękitny szmat pogodnego nieba, a pod nami otwiera niezmierzona przepaść swą czarną, zdradziecką paszczę. Powiew tu czystszy, wonniejszy, oddech swobodniejszy, a myśl lotniejsza. Z ruin przemawia do nas dawna, pogrzebana epoka, a z góry sam Bóg, bliższy człowiekowi w obliczu wspaniałej przyrody.

Buta śmiertelnika pokornieje przed majestatem potęgi Stwórzyciela. Pyszna na równej ziemi jednostka, czuje się tu tak maleńka, że pragnie kogoś drugiego, aby się oprzeć na jego ramieniu i być silniejszą.

Dziewczę przytula się do mnie coraz ufniej i trwożniej, a ja zapominam o rozumie, o przeszłości i przyszłości i widzę tylko ją... moją najdroższą... jedyną.

— A te białe krzyże, zatknięte nad przepaścią? Czy pan wiesz, co one oznaczają, panie Zygmuncie?— pyta mnie Jadwiga.

Z poza drzew, porosłych na bokach przepaści, wygląda rzeczywiście kilka krzyżów.

— Te krzyże, pani — odpowiadam — są smutnem świadectwem kaprysu niewieściego. Kiedyś, dawno, kwitła w tym zamku Kunigunda z Kynast, słynąca wdziękami na całą okolicę. Z blizka i daleka ciągnie rycerstwo, usiłując zdobyć serce i rękę pięknej dziewicy. Ale ona mówi: ten będzie mężem moim, kto objedzie trzy razy mur zamkowy na koniu wojennym, w peł-

---

do ich obozu. Dziś na polu naukowem mają oni jeszcze Kalinkę, a może z biedą znalazłoby się między nimi parę innych głośniejszych imion naukowych — ale na polu pięknej literatury, gdzie są stańczyki? Nie mówiąc już o Asnyku, ale czyż jest między nimi choć jeden coby umiał lepiej zrymować jak: baba-słaba, lub gadał-biadał, albo: koszula-cebula. Wszyscy wybitni komedjopisarze i dramaturgowie: Bliziński, Bałucki, Zalewski, Świętochowski, Asnyk, Szymanowski, Bełcikowski, Lubowski krzyżem świętym się od nich żegnają. Fejletoniści: Lam, Prus, poruszeniem nogi wskazują na słabe miejsca stańczyków. Nareszcie pomiędzy całym tłumem naszych powieściopisarzy, tłumem, na czele ktorego stoją tacy jak Kraszewski, Jeż, Orzeszkowa, Lam, Bałucki, Zacharjasiewicz, Kaczkowski itd.—nareszcie znaleźli jedną «grubą rybę,» która na ich wędkę ułowić się dała. Niech więc grzmią puzony, niech huczą fanfary!—mamy jednego ale lwa — to Homer, Szekspir, to nawet może sam Stanisław Tarnowski...

Szkoda tylko, że ta «gruba ryba» ongi nie bardzo się pochlebnie o nich wyrażała i całkiem inne głosiła przekonania. Gdyby wówczas Sienkiewicz był na uniwersytecie krakowskim to «nasz bardzo młody uczony» pan Smolka z pewnością by go usunął z uniwersytetu. Wielkie to szczęście tajnego radcy Smolki, że nie jest dziś uczniem Almae Matris ale ekscellencją, bo żleby z nim było, gdyby jego syn był kuratorem Czytelni, a on dygnitarzem akademickim. Krótko i węzłowato zakończyłby sprawę pan kurator: «jesteś Pan czerwony — proszę ustąpić miejsca innym.» Nawet sam siebie «nasz bardzo młody uczony» byłby z pewnością usunął, boć i on przecie w latach swych młodzieńczych sprzyjał zasadom, które ojcu jego zjednały cześć i sławę. Tempora mutantur!

Oj! że «mutantur» to prawda. Niedawno jeszcze kawaler Stanislaus de Skrzynno był benjaminkiem partji, a zaledwie drapnął już go się wyparto i zjeżdżono w Przeglądzie Polskim. «Znakomita praca» (czytaj «Czas» z Grudnia) okazała się niedołężną w dwa miesiące później, — co więcej «Przegląd» dostrzegł nareszcie, o czem inni już dawno wiedzieli, że pan Stanisław między *h* a *ch* i między *ó* a *u* nie robił różnicy. Ten brak «charmonji» w zdanio przyczynę swoją mieć «mósi».

K. B.

nej zbroi. Proszę spojrzeć na mur, mający zaledwie dwie stopy szerokości — tłomaczę, wskazując na resztki, istniejące jeszcze dziś. Próbuje jeden rycerz, pan na zamku Heinrichsburg, który pani widzi ot tam na lewo; próbuje drugi, trzeci i czwarty junak, lecz wszyscy spadają w przepaść, aby z niej więcej nie wrócić. A Kunigunda przypatruje się temu dziwnemu turniejowi z tego samego balkonu, na którym w tej chwili stoimy i śmieje się z nieszczęścia odważnych. Po niejakim czasie przybywa jakiś rycerz z dalekich stron. Wykonał kaprys możnej pani, objechał trzy razy mur, lecz nie przyjął nagrody. Jestem żonatym, rzecze do Kunigundy, gdy się ta chce rzucić w jego objęcia, lecz choćby mnie pierścień ślubny do żadnej nie przykuwał niewiasty, rzuciłbym ci i wtedy twą miłość w twarz, bo kobieta która się w ten sposób znęca nad ludźmi, zasługuje tylko na pogardę. Splunął i odjechał. A Kunigunda rzuciła się teraz także w przepaść, bo dumne jej serce nie mogło znieść upokorzenia. Jej to i poległych w służbie jej kaprysu junaków, śladami są te krzyże.

Kiedy skończyłem opowiadanie, spojrzałem na Jadwigę, szukając na twarzy jej wrażenia tej legendy. Patrzyła przed siebie, na wierzchołki sąsiednich gór tym samym tęsknym wzrokiem, którym mnie oczarowała w wagonie drogi żelaznej.

— Jakże się pani podoba ta kapryśna rycerka średniowieczna? — zapytałem po chwili.

— O, ona nie musiała nigdy kochać, bo kobieta kochająca nie mogłaby znieść...

Zamilkła, zarumieniła się. Ręka jej zadrżała na mem ramieniu; chciała ją wysunąć, ale ja schwyciłem jej paluszki i szepnąłem:

— Jadwiniu!

Cała moja istność, całe życie wszystka myśl skupiły się w tem jednem słowie.

Uścisnąłem jej rączęta — nie broniła się; przyciągnąłem ją do siebie — nie opierała się; objąłem ją, oplotłem ramieniem, przycisnąłem jej pierś do mojej...

Gorące płomienie objęły nas, złączyły, stopiły w jedną istotę. Nie widzieliśmy w tej chwili nic... nic... prócz siebie. Gdyby świat był runął, gdyby się sklepienie niebieskie było zawaliło nad nami, gdyby nas była pochłonęła przepaść Kunigundy, nie bylibyśmy nic uczuli.

Strzel potoku pianami w górę, abyś nas objął i wziął z sobą między urwiska i lilje wodne. Będziemy tam śnili wiecznie, wiecznie o miłości, która niema końca, a jodły będą szumiały nad nami pieśń starą, jak świat, a mimo to zawsze piękną, młodą, świeżą. Pragniemy umrzeć z pamięcią tej chwili...

Trzymaliśmy się w objęciach bez słowa, bez myśli, bez świadomości. Mózg zalała nam krew, a nerwy drżały, jak w gorączce. Czuliśmy tylko siebie, zapomniawszy, że istnieje okrom nas jeszcze cały świat. Byliśmy sobie światem... wszystkiem.

A wysoko nad nami krążyły wrony, krakając złowieszczo; a pod nami groził ponury łoskot potoku górskiego. Tylko niebo nie straszyło, uśmiechnięte pogodą, latem, życiem; tylko las nucił swą tajemniczą melodją, lejącą kojący balsam w każde serce, czy znękane smutkiem, czy strwożone nadmiarem szczęścia.

Tak, strwożone! Bo jakaś trwoga ogarnęła mnie, kiedy rozplotłem pierwszy ramiona.

Rzecz dziwna! Odetchnąłem głęboko, jakby z boleścią, po przejściu pierwszego zachwytu.

— Najdroższy mój! — szepnęła Jadwiga.

I znów utonęliśmy w objęciach. Wziąłem jej główkę w swe dłonie, przypatrywałem się przez kilka chwil jej twarzyczce w upojeniu, potem przytuliłem ją do siebie, złożyłem na ustach jej pierwszy pocałunek.

Zdawało mi się, że runę z balkonu w przepaść. Ogarniała mnie jakaś słodka słabość, jakieś omdlenie. I ona musiała tego samego doznawać uczucia, bo główka jej opadła na moje ramię ciężko, bezwładnie.

A wrony krakały bezustannie, a potok górski łomotał groźnie...

— Hop, hop, prosimy się odezwać!

Był to głos Terenkoczy'ego, który dotarł wreszcie z panią Rokitnicką do szczytu góry.

Oprzytomnieliśmy, zbiegliśmy na dół, na dziedziniec. Uważnie spojrzała na nas pani Rokitnicka. Ale ja, ująwszy Jadwinię za rączkę, przypadłem do kolan matki i prosiłem:

— Nie odmów nam swego błogosławieństwa, pani.

Matka rozpłakała się, uściskała nas, pobłogosławiła.

Przyjaciel mój stał na uboczu, zdjął kapelusz, jak wobec świętej czynności i mówił z cicha:

— Może jemu przeznaczono wygrać na loterji, kiedy nie umie i nie chce liczyć.

VIII.

Kochałem, byłem kochanym i nie potrzebowałem się z uczuciem swem ukrywać. Wolno mi było podzielić się swem szczęściem z całym światem, opowiadając każdemu, kto mnie zechciał słuchać, że Jadwiga należy do mnie... do nikogo, tylko do mnie.

Do mnie? Pieściłem się z tą myślą przez całą noc, jak chłopczyk, którego ubrano po raz pierwszy w suknie męzkie. Ona jest moją — oprócz mnie nie posiada odtąd nikt praw do niej wszystko jest moje: jej włosy, oczy, buzia, rączki, wszystko.

Śmiałem się z cicha, leżąc na łóżku; byłbym się śmiał głośno, byłbym klaskał, gdybym się nie był wstydził Terenkoczego, który mieszkał ze mną w jednym pokoju.

Zdawałoby się, że dopiąwszy celu, o którym marzyłem naprzód bezwiednie, później z świadomością od całego miesiąca, że stanąwszy prawie u mety, powinienem się był zatrzymać wśród stromej drogi pożądania.

— Czy ty się myślisz zaraz ożenić? — zapytał mnie nazajutrz Terenkoczy.

Dziwne pytanie! Dziś, w tej chwili, natychmiast, gdyby nie formalności przedślubne.

— Ty chyba nigdy nie kochałeś—odpowiedziałem, rzucając koledze płomienne spojrzenie.

— Owszem, bardzo często, zdaje mi się nawet, że więcej, niż dziesięć razy — mówił szyderca, obcinający z namysłem, powoli główkę cygara — i właśnie dlatego radziłbym ci, abyś się nie bardzo spieszył. Bo wiedz, mój drogi, iż życie ludzkie nie należy wcale do karyer przyjemnych. Tyle szczęścia, ile go daje ułuda, a pierwsza miłość jest jedyną żywą poezją, jedynem uczuciem, które i mizernego kramarza oderwie na czas niejakiś od pospolitego zarobkowania. Przeto radzę ci wytrwać w stanie narzeczonego, jak najdłużej, choćby rok, dwa, trzy. Jesteście młodymi, możecie na siebie czekać.

Spojrzał na mnie z bladym uśmiechem na obwisłych apatycznie ustach i zapalił cygaro troskliwie, obejrzawszy je naprzód ze wszystkich stron.

— Bo małżeństwo, mój drogi — prawił dalej, gdy się odemnie nie doczekał odpowiedzi — to już rzeczywistość, to proza. Gdybym mógł, chciałbym piastować godność narzeczonego do deski grobowej. Wystaw sobie łzy kochanki, padające na trumnę niedoszłego męża. Sto poematów możnaby wysnuć z takiego motywu.

Nie miałem ochoty do słuchania takich cynizmów. Rzuciłem się gniewnie, odpierając głosem szorstkim:

— Zostawiłbyś mnie lepiej w spokoju, wiedząc, że mnie nie przekonasz. Nie wierzę, aby małżeństwo miało gasić ognie miłości.

— Małżeństwo nie tłumi uczucia, bywają nawet przypadki, że je potęguje, gdy mu zewnętrzne sprzyjają okoliczności.

— A kto tobie powiedział, że mnie te okoliczności nie będą sprzyjały?

— Kto? Odpowiem ci niewprost. Czy upatrzyłeś sobie już jakie gniazdko? Przecież musicie gdzieś stale osiąść, bo trudno, aby twoja żona mieszkała w wagonie, w poczcie, w hotelu, w karczmie lub pod gołem niebem, jak ty w ostatnich dwóch latach. A w mieszkaniu muszą się znajdować jakieś sprzęty, zwane meblami, jakieś coś, na czemby można usiąść, spać, jeść.

Rzeczywiście, nie myślałem dotąd o tem. Opuściłem głowę na pierś, zdziwiony własną nieopatrznością. Mieszkać? Zapewne, trzeba gdzieś mieszkać, a ja żyłem dotąd, jak ten wiatr, co w polu wieje, dziś tu, jutro tam, bez dachu, bez kąta, i bez żadnej rzeczy, ktora jego jest. Całe moje mienie stanowiło trochę ubrania i pensja inżeniera, którą wydawałem rzetelnie w ciągu miesiąca, aby zrobić miejsce dla następnej.

— Trzeba by się inaczej urządzić— bąknąłem zakłopotany.

— Musisz zrobić podanie do dyrekcji, aby cię odkomenderowała do budowli jakiej drogi. Zdaje mi się, że się nad Bałtykiem roboty ziemne rozpoczną jeszcze tej zimy. Może cię tam poślą, a wtedy siedziałbyś na jednem miejscu przez trzy lub cztery lata. Jedyna to droga, jeźli ci spieszno do stanu małżeńskiego.

Była to rzeczywiście jedyna droga, bo nie posiadałem majątku osobistego, tak samo jak Jadwiga, ktora, będąc córką zbankrutowanego obywatela ziemskiego, żyła od lat kilku z matką z wsparć rodziny swego zmarłego ojca. Wyznała mi to wczoraj, przy herbacie, co oczywiście wcale na mnie nie podziałało, gdyż nie znałem jeszcze wowczas wartości i potęgi złota. Jestem młodym, nauczyłem się, umiem i chcę pracować — odparłem, całując paluszki promieniejącej dziewczyny.

— Wiesz co? — zapytał po chwili Terenkoczy, stawając przedemną.

Podniosłem głowę, słuchając uważnie.

— Ponieważ się i mnie włoczęga na pewien czas sprzykrzyła, każę się przenieść razem z tobą na stały pobyt. Chcę być przez kilka lat porządnym filistrem, a gdy zasmakuję w uciechach szczęścia domowego, pójdę może za twoim przykładem i ożenię się. Czy zgoda?

Rzuciłem mu się na szyję, ściskając go serdecznie, jak przyjaciela, jak brata.

— Ty filistrem? — roześmiałem się. Wilk w rewerendzie, rumak arabski w chomontach, ciągnący wóz z piaskiem, sokół na grzędzie w kurniku? Byłoby to pocieszne.

Zabawił nas ten pomysł; śmialiśmy się obadwaj.

Rozumie się samo przez się, że panie Rokitnickie zostały jeszcze kilka dni w Warmbrunn, gdy się położenie ich w skutek improwizowanych zaręczyn tak stanowczo i tak nagle zmieniło.

Przechadzaliśmy się teraz z Jadwigą niezmiernie poważnie wzdłuż promenad, rozmawiając oczywiście o naszej wspólnej przyszłości, o gniazdku ktore sobie uścielemy, a które będzie tak malutkie, a mimo to tak ładniuchne i miluchne, jak mieszkanko młodych małżonków, wyrysowane w illustracji, leżącej na stole w «kursalu». Potrzebaż parze kochającej się rozległych apartamentów? Choćby jeden pokoik, jeden kącik, byle razem, ciągle razem. Albo drogocennych sprzętów, lub wystawnych obiadów? Choćby jeden stołek i prosty ziemniak, byle razem, ciągle razem. Stare to przecież dzieje, jak marzenia miłości...

A Jadwinia rozprawiała tak poważnie o zadaniach gosposi, tak praktycznie zapatrywała się na świat, na ludzi, na życie, że przystawałem nieraz wśród przechadzki, obrzucając ją zdumionym wzrokiem, nie wierząc, żeby tak mądre i trzeźwe słowa mogły wyjść z tak pięknych i różowych usteczek.

— Nie wierzysz? O, zobaczysz, jak ja wszystko oszczędnie a mimo to gustownie urządzę — mawiała wtedy, uśmiechając się roskosznie. Minęły już czasy, kiedy nasze panie żyły tylko po za domem, nie wiedząc, co się dzieje w obrębie ich własnego ogniska.

Zkąd ona o tem wie? — pytały oczy moje.

A jej ślipki ukochane śmiały się figlarnie, gdy mówiła dalej

— Czytałam cały traktat o potrzebie praktyczności w «Tygodniku dla kobiet.»

Nie trudno się domyśleć, że byłem moją przyszłą żoną zachwycony, że spozierałem z tryumfem na Terenkoczego, szepcąc: a co, niedowiarku?

— Widzisz, ona czytała traktat o praktyczności...

Żegnając się w końcu piątego tygodnia, trzymaliśmy się długo za ręce. Gdy pociągi ruszyły, rozłączając nas na kilka miesięcy, unosząc ją na wschód, a mnie na zachód, zdawało mi się, że mnie egipskie ogarniają ciemności, że zostałem sam w dalekiej pustyni, choć słońce lipca świeciło wesoło, a wagon roił się od podróżnych, jak ul. Wsunąłem się w kąt powozu kolejowego i zamknąłem oczy, aby być z Jadwigą moją choć w marzeniu.

W Berlinie, w biurze centralnem nie stawiano nam żadnych przeszkód. Wysłano nas już we wrześniu nad Bałtyk, do małej mieściny powiatowej, mianując Terenkoczego naczelnikiem dystansu, a mnie jego asystentem.

Nająłem natychmiast mieszkanko, wziąłem meble na wypłaty, usłałem gniazdko niewielkie wprawdzie, ale rzeczywiście miluchne. W oknach rozwiesiłem zasłony jedwabne, kanapki i fotele kazałem błękitnym obić adamaszkiem, posadzki pokryłem kobiercami, w pokoiku sypialnym ustawiłem całą cieplarnię, umieszczając tualetę przyszłej mej żony w klombie kwiatów i roślin zagranicznych. Resztę urządzi sobie sama, gdy przybędzie, pomyślałem sobie.

Kupcy nie robili trudności, dając młodemu inżenierowi wszystko, czego tylko zażądałem. Ma przed sobą długie życie, może się bogato ożenić itd., niema więc obawy, aby nie zapłacił. Tak pewno mniemali.

W końcu listopada udałem się przez Królewiec, Gdańsk, Tczewo, Toruń i Aleksandrów do Królestwa, zdążając w Kaliskie, do wioski jakiegoś kuzyna Jadwigi, u którego miał się ślub nasz odbyć. Jechałem od granicy jakiemiś drogami, pełnemi wybojów i dziur i jakimś wehikułem, trzęsącym jak taczka, pchana po grudzie. Mówiono mi, że ta droga, to szosa, a ten wehikuł, to poczta. Zdziwiłem się bardzo, lecz myślę sobie, może i tak jest. Co bowiem kraj, to obyczaj.

W końcu — cóż mnie to może obchodzić? Jadę do «niej,» do Jadwigi mojej, więc choćby mnie wlekli za włosy po błocie, jeszczeby mi się może zdawało, że płynę gondolą na kanałach Wenecji wśród blasków księżyca.

O, miłości, jakaż ty jesteś czarodziejką!

IX.

Gwałtowna burza srożyła się nad równinami Prus Wschodnich, kiedy stanąłem w pierwszych dniach grudnia z młodą żoną na ostatniej stacji drogi żelaznej. Gdy wyszedłem przed dworzec, aby się przekonać, czy Terenkoczy przysłał zamówione konie, ktore miały nas zawieźć do miasteczka powiatowego, nie mogłem przez dłuższy czas otworzyć oczu. Od strony morza dął silny wiatr, sypiący na mnie górę drobnego, ostrego śniegu, ktory kłuł, przyczepiając się do rzęsów i oczów.

— Tramp! — zawołałem opędzając się wichrowi, jak się dało.

Tramp, lokaj jeszcze z czasów kawalerskich, wysoki, barczysty chłop, przenoszący mnie niejednokrotnie na swych szerokich plecach przez kałuże i rowy, gdy pracowaliśmy w polu, odezwał się rzeczywiście w ciemnościach krótkiem: *zu Befehl!*

Za chwilę stał przy mnie, podnosząc dwa palce prawej ręki do czapki.

— Więc przyjechaliście po nas? — zapytałem.

— Na rozkazy! — odparł Tramp, salutując powtórnie.

— Musimy trochę poczekać, aż burza przeminie. Tymczasem każ sobie i stangretowi podać wieczerzę i kwartę mocnej wódki, abyście się na drogę rozgrzali. Gdy śnieżyca ustanie, zaprzęgać i marsz!

Tramp zawrócił się na obcasie po wojskowemu i pospieszył do restauracji.

W godzinę potem siedzieliśmy w wygodnych sankach, unoszonych czwórką dzielnych trakenów. Wiatr przyczaił się, śnieg przestał padać, a na rozpogodzone niebo wypłynął srebrny księżyc.

Zawinięta w futro, przytulona do mego ramienia, spoglądała Jadwiga na białe pola, rozesłane przed nami bez końca. Nie widzieliśmy przed sobą ani jednego drzewka, ani jednej chaty. Śnieg, śnieg i śnieg.

Czułem, jak się gołąbka moja przysuwała do mnie coraz więcej, coraz bliżej, zatrwożona snać smutną jednostajnością zimy północnej.

I w Polsce niema gór, ani kaskad, lecz tu i owdzie pada na całun przyrody cień lasu sosnowego, lub śni wśród wieńca lip i topoli skromna wioseczka. Czasem błyśnie na ponurem tle krzyż, zdobiący wieżę kościółka; czasem mignie murowany dworek, lub zaturkocą cichutko śmigi wiatraka, stojącego w polu, jak duch nocny.

A tu nic, okrom sinej przestrzeni, lśniącej w blaskach miesiąca, jak gdyby w niej pływały miljony słabych, bladych iskierek. Nawet pohulać nie może sobie oko, do dalekiego przywykłe otu, bo widnokrąg zdaje się zamykać tuż przed końmi.

Rumaki pomykają niby łabędzie z wyciągniętemi szyjami, sanki suną bez trudu, jak na falach powietrza, dzwonki brzęczą, a ja obwijam główkę mej najdroższej żoneczki, ramieniem, przyciskając ją do serca. Przypomniałem sobie bowiem, że i mnie nie rozweselił ten martwy krajobraz. kiedy go po raz pierwszy ujrzałem.

— Zamknij oczęta i marz — mówię do Jadwigi—w domu czeka na nas cieplutkie gniazdeczko i prawdziwy przyjaciel.

— O mój najdroższy — szepnęła.

W kilkanaście minut potem uczułem na piersiach równy, lekki oddech. Zasnęła. I mnie znużył widok opustoszały łanów. Pochyliłem głowę i drzemałem.

Nagle przebudziło mnie głośne szczekanie psów i klątwy pocztyljona. Przecieram oczy, rozglądam się. W około widzę wojsko jakichś drążków, między któremi się konie przewijają, rozbijając o nie sanki. Pod kopytami trakenów dzwoni coś, jakby stłuczone szkło.

— Cóż to się stało, Tramp? — pytam.

— Zbłądziliśmy — odpowiada za lokaja pocztyljon. Zawieja zrównała drogi z polami, konie straciły ślad i zagrzęźliśmy w jakiejś kałuży, czy w sadzawce, bo skrzypi coś pod kopytami, jakby lód.

— Ładny mi lód! żeby was pioruny zabiły! Czy to nie macie ócz, czy co, aby wjeżdżać ludziom na inspekta i narobić tyle szkody?

Tak wykrzykiwał jakiś człowiek, szczujący nas psami.

— Pokazałbyś nam lepiej drogę, a nie ujadałbyś, bo jak ja cię poszczuję batem, to się będziesz drapał aż do samych świąt — odezwał się pocztyljon.

Przemowa ta poskutkowała natychmiast. Nieznajomy ujął konie za wodze i wyprowadził nas na szosę.

— Po wynagrodzenie szkody zgłoś się jutro do mnie, do miasta. Jestem inżenier Śliwiński. Jedz!

Po kwadransie stanęliśmy w mieście. Głośne «hurra» z kilkuset piersi przestraszyło nas, gdy się konie zatrzymały. Domek mój był uilluminowany, a nad drzwiami błyszczał wielki transparent z płonącym napisem: witajcie!

Terenkoczy uściskał mnie, Jadwidze ucałował ręce, a ludzie wołali: hurra, niech żyją!

Na rozkaz naczelnika dystansu stawili się wszyscy robotnicy, aby uświetnić okrzykami przybycie mojej żony.

Po kilkogodzinnej podróży wśród nocy zimowej wydawały nam się ciepłe, ograne pokoiki istnym rajem. Zasiedliśmy wszyscy troje przy małym, okrągłym stoliczku, gawędząc i żartując przy herbacie prawie do samego rana.

Nazajutrz objęła Jadwinia komendę nad małem królestwem naszem. W eleganckim peniuarze, z czepeczkiem koronkowym na główce, biegała po pokoikach, zachwycając się każdym gracikiem, każdym sprzętem.

— Ach, jakie to ładne, jakie miluchne! — wołała ciągle, całując mnie przy każdym meblu po kilkanaście razy.

Poszła nawet do kuchni i aż klasnęła w maluchne dłonie, ujrzawszy szereg miedzianych, błyszczących rondli i garnków.

— O, zobacz, jak znakomicie będę gospodarowała.

I wykwitł teraz z serc naszych ów żywy poemat, znany pod tytułem «Miesiące miodowe.» Zaczyna się on od wyrazu «kocham» i powtarza to słowo w każdej zwrotce, w każdym wierszu, ustawiając je i oświetlając z najrozmaitszych stron.

Podobało nam się wszystko: szczupłe, ciasne mieszkanko, skromne obiady, nudne miasteczko, małe, odrapane kamienice.

Przypatrywaliśmy się sobie, jak dwa małe kotki, wpuszczone do jednej klateczki, i bawiliśmy się, jak one.

Tak, bawiliśmy się: sobą, życiem, światem. Oczarowywał mnie każdy ruch mej żony, płaciłem jej za każde słowo uściskiem, pocałunkiem, pieszczotą.

Żadna troska nie mąciła pogody naszego szczęścia. Wprawdzie mi pensja nie zawsze wystarczała, lecz od czegoż kredyt, którego młodemu inżenierowi nikt nie odmawiał? W najgorszym razie pożyczyłem od kolegów, gdy mi pieniędzy zabrakło. Co tam znaczy dziesięć, dwadzieścia, choćby sto talarow? Oddam, gdy będę miał.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wspomnienia ze szkół buczackich.

Dokończenie.

Nauka gimnazyalna w Buczaczu nie różniła się od nauki w innych ówczesnych gimnazyach, a pominąwszy język wykładowy i rozszerzony zakres niektórych przedmiotów była bardzo podobna do dzisiejszej. Tyle się pisze, mówi i obraduje w przeróżnych ankietach o reformie gimnazyów, a pomimo tego wszystko zostaje «beim Alten.» Językiem wykładowym był język niemiecki z wyjątkiem religii, którą dla polaków po polsku, a dla rusinów po rusku jeden katecheta wykładał i języków polskiego i ruskiego, których jeden i ten sam profesor przez jednę godzinę tygodniowo uczył. W gimnazyum polacy nie byli obowiązani uczyć się ruskiego, a rusini polskiego języka. Do nauki łaciny służyła gramatyka Schiennagla, w której prawie wszystkie reguły nosiły na sobie sukienkę poetyczną; przytaczamy tu regułę o rodzajach:

Die Maenner, Voelker, Fluess' und Wind'
Und Monat' masculina sind.

Die Weiber, Baeume, Staedt' und Land
Und Inseln weiblich sind benannt.
Was man nicht decliniren kann,
Das sieht man als ein Neutrum an.
Commune heisst was einen Mann
Und eine Frau bezeichnen kann.

Łaciny i zoologii uczył ś. p. ks. Hnatewicz, wzorowy i świątobliwy kapłan, a najzacniejszy człowłek, którego jedyną wadą była niechęć do Polaków. Niechęć ta nie objawiała się jednak ani prześladowaniem, ani szykanami, lecz tem, że gdy n. p. rusin i polak równie dobrze się uczyli, dawał pierwszeństwo rusinowi itp. drobnostkami. Pomimo tego polacy szanowali go i kochali zarówno z rusinami. Był to jedyny profesor, który karać nie lubił i nigdy sam plag nie rozdzielał. Gdy którego ucznia już koniecznie ukarać trzeba było, wtedy nie ruszając się z katedry wołał do swego ulubieńca: «Hadiuga daj mu pięć!» Ulubieniec ten pomimo swego strasznego nazwiska był bardzo łagodnym chłopiskiem, który dziwne losu koleje przechodził. Ukończywszy szkołę normalną poszedł na praktykę do diaka, u którego po kilkoletniej nauce awansował na poddiaczego; lecz niedługo na tem stanowisku zostawał. Żądza zmiany losu popchnęła go w szeregi straży skarbowej «terebylulkami» zwanej [1]), w której aż do 20 roku życia służył. Następnie asenterowano go do wojska, w którem ośm lat służył i kampanią włoską w. r. 1859 odbył. Po zawarciu pokoju uwolniono go z wojska ze stopniem kaprala i wtedy obudziła się w nim chęć do stanu duchownego. Wszedł więc razem ze mną do gimnazyum mając lat 29. Na wezwanie ks. profesora prowadził ten sędziwy kolega delinkwenta do ostatniej ławki i zamiast gdzieindziej uderzał po podłodze z dziką energią, wiedząc dobrze, iż ks. profesor wskutek bardzo krótkiego wzroku tego nadużycia zaufania nie spostrzeże. Miał sędziwy ks. Hnatewicz zwyczaj wywoływania na środek klasy tych, których chciał egzaminować. Wszedłszy do klasy zasiadał z wielką powagą w katedrze otrzepawszy ją pierwej z kurzu, podsuwał rękawy od sutanny do góry, poskrobał się małym palcem w siwiuteńką głowę, otwierał katalożek swój i szepleniącym cichym głosem wzywał mających być pytanymi: «Es werden kommen, und mir etwas «sagen, was sie sich gemerkt haben, zum Beispiel... Kocan dieser «dorten» i nagłym ruchem ręki wskazywał na prawo, chociaż wezwany siedział po lewej stronie i odwrotnie. Powtarzało się to regularnie każdej lekcyi. Zoologią wykładał bardzo przyjemnie i pożytecznie, bo do suchego opisu zwierzęcia dodawał zwykle zabawne lub pouczające dykteryjki. Pewnego dnia rano znaleziono go bez ducha leżącego w celi z rękami złożonemi na piersi. Zgasł cicho i spokolnie, jak cichem i spokojnem całe życie jego było. Szczery żal wszystkich uczniów, przyjaciół i znajomych towarzyszył mu do grobu, a zjazd duchowieństwa tak unickiego jak łacińskiego był tak wielki, że tworzył przy pochodzie pogrzebowym kolumnę kilkadziesiąt kroków długą.

Na miejsce nieodżałowanej pamięci ks. Hnatewicza przybył ks. Małyniak. (Nie podajemy prawdziwego nazwiska, bo był to człowiek młody, a więc z wszelkiem prawdopodobieństwem przypuszczać można, że żyje jeszcze). Zaprezentowanie się jego wzbudziło w nas komiczne zdumienie. Zasiadłszy z przesadną powagą w katedrze przemówił do nas w te słowa:

— Jeśm profesor Małyniak. Ich bin der Professor Małyniak. Jestem profesorem Małyniakiem.

Kiedy na tak niezwykle lojalne zadosyćuczynienie i językowi rządowemu i obydwom krajowym językom, a więc allen dreien Landessprachen, dało się słyszeć w klasie chichotanie, zrobił pater professor srogą minę i

— Muszu wam skazaty — powiedział — abyśte na mojej hodyni dobre uważały, bo inaksze budete ostro karani. Ich muss euch sagen, damit ihr waehrend meiner Lehrstunde gut Acht gebet, sonst werdet ihr streng bestraft werden. Muszę wam powiedzieć, abyście na mej godzinie dobrze uważali, bo inaczej będziecie ostro karani.

Wtem otwierają się drzwi i wchodzi nieśmiało malec.

— Czomu tak pizno prychodysz? Warum kommst du so spaet? Dlaczego tak późno przychodzisz?

— Proszę księdza profesora, bo u nas późno objad jadają.

— Howory do mene po ruskie, bo ja po polskie ne rozumiju. Sprich zu mir ruthenisch, denn ich verstehe nicht polnisch. Mów do mnie po rusku, bo ja nie rozumiem po polsku.

— Bo u nas pizno obidajut.

— Jak sia nazywajesz? Wie heissest du? Jak się nazywasz?

— Onufryj Kryczkiwskij, odpowiada zagadnięty zrusiniwszy z przestrachu swe nazwisko, bo nazywał się Onufry Krzyczkowski i był polakiem.

— Dobre. Idy na swoje mistce. Es ist gut. Geh' auf deinen Platz. Dobrze. Idź na swoje miejsce — powiedział ks. profesor.

Tak jak rozmowa z uczniami, tak też i wykład odbywał się we wszystkich trzech językach, a nigdy nie uchybił ks. profesor żadnemu z nich przez pominięcie, ani też nie zmienił porządku, w jakim po sobie następowały, a więc: ruski, niemiecki i polski. Jak wykład taki był praktycznym, kiedy się częstokrć najprzód jednę część zdania w trzech językach powiedziało, a druga część dopiero później następowała, łatwo zrozumieć. Oto próbka wykładu:

— Oreł, der Adler, Orzeł, jest' to wełyka ptacha, est ist ein grosser Vogel, jestto wielki ptak, maje krywyj dziob, hat einen krummen Schnabel, ma krzywy dziób itd. itd.

Jakkolwiek ks. profesor wykładał w trzech językach, wolno było uczniom odpowiadać tylko w języku niemieckim.

Że i inni ks. profesorowie byli mniej lub więcej oryginalnymi, nie potrzebujemy dowodzić, boć znaną jest ogólnie rzeczą, że wszelkie zawody naukowe, a przedewszystkiem lekarski i nauczycielski wytwarzają oryginałów. Wspomnę więc tylko o ks. Modeście Ł. który był nadzwyczajnie łatwo przekupnym. Niechaj jednak nikt nie sądzi, iż egzystowała tak wysoka kwota pieniężna, za którą możnaby było u ks. Modesta kupić dobrą cenzurę. Niech mię Bóg uchowa od takiego twierdzenia! Chociaż nie za pieniądze można było przecież u niego dobrą cenzure kupić: wystarczało tylko pójść do niego do celi, poprosić o względy, oświadczyć z góry zgodę na wszelkie warunki, następnie otrzymać w tajemnicy pewną ilość plag, a sprawa była już tem samem ku obopólnemu zadowoleniu załatwioną.

O kwalifikacyi nauczycielskiej oo. profesorów nie będę nic mówił, gdyż oprócz ks. rektora, który kończył kursa filozoficzne, a egzaminów nauczycielskich nie robił, wszyscy inni byli zwykłymi zakonnikami, a uczyli tych przedmiotów, które im się najlepiej podobały.

Zabawy tak starszych jako też i młodszych uczniów były jedne i te same: a więc gra w piłkę i kiczkę, w zachodniej Galicyi pliszką zwaną. Dla gry w piłkę przedstawiały okolice Buczacza bardzo wiele terenu: góra Fedor, pastwiska nad Strypą wśród lasów t. z. lewady, w Podlesiu i Podzameczku. Każdą więc wolną od nauki chwilkę przepędzało się po za domem, a wychodziło się z domu parami z palestrami w ręku: na przodzie młodsi uczniowie, dalej starsi, a nakoniec p. dyrektor ze swymi kolegami. Każdej soboty po odbyciu sądów szło się najpierw do lasu gdzie każdy obowiązanym był pewną ilość latorośli brzozowych i cienkich prętów leszczynowych naciąć, które później p. dyrektor umiejętną ręką na rózeczki, lecz nie czarodziejskie przemieniał. Łatwo pojąć i zrozumieć, jak wysoce tragicznem było nasze położenie, gdy zmuszeni byliśmy *własnemi* rękami kręcić bicz na *własne* grzbiety. Lecz jeżeli mam być otwartym, to przyznać muszę, że sytuacyi tej nie braliśmy tak tragicznie, przeciwnie uważaliśmy rzecz całą jako ćwiczenie w wspinaniu się na drzewa. Do najprzyjemniejszych zabaw naszych należały wyprawy na ryby do stawów trybuchowieckich i na owoce. Trybuchowce, wieś o małą milę od Buczacza odległa, posiadały ogromne, a bardzo rybne stawy, w których łowienia ryb na wędkę studentom nie wzbraniano, to też można było w dnie rekreacyjne widzieć po kilkudziesięciu uczniów siedzących nieruchomo na grobli i spoglądających z wytężoną uwagą na zarzucone wędki. Zdobyczy nie niosło się zwykle do domu, lecz na ustronnem miejscu rozpalało się ogień, przypiekało nad nim na patyczki wbite rybki i tak zjadało. Że wybornie smakowały, o tem nie będzie wątpić nikt, ktokolwiek był młodym. Wyprawy na owoce odbywały się we dnie lub w nocy. Dzienne przedsiębraliśmy do odległych przedmieść lub okolicznych wsi, nocne zaś w samem mieście lub nawet do ogrodu bazyliańskiego. Wyprawy te były połączone częstokroć z niejakiem niebezpieczeństwem, bo jakkolwiek wpadało nas zwykle po kilkunastu do nieprzyjacielskiego ogrodu owocowego, zdarzało się przecież, że natrafiliśmy na energiczny, czasem nawet przygotowany odpór. Jeżeliśmy spostrzegli, że siły nieprzyjacielskie przeważające, wtedy nie uciekaliśmy — broń Boże — lecz urządzaliśmy

[1]) „Terebylulka" pogardliwa nazwa dla straży skarbowej, używana przez chłopów ruskich. Po polsku znaczy przetrząsacz fajek.

koncentracją na tyłach czyli według terminologii wojennej austryackiej «eine Rueckwaerstsconcentrirung.» Otóż łatwo pojąć, że taka koncentracya po za okopami nieprzyjacielskimi (parkanem, płotem lub murem) pociągała za sobą często pozostawienie w ręku nieprzyjacielskim jednego lub więcej jeńców. Obawiając się późniejszej zemsty nie wykonywał nieprzyjaciel na jeńcach doraźnych wyroków, lecz oddawał OO. Bazylianom do ukarania. Na tym punkcie byli ojcowie dziwnie pobłażliwymi, cała kara polegała na kilku plagach, a często nawet na kilku tylko godzinach karceresu. Przywłaszczanie sobie cudzych owoców uważaliśmy za rzecz tak naturalną, a legalną, że nie przypominam sobie, bym się kiedy z grzechu tego spowiadał.

Zabawą, o której się niemal przez cały rok mówiło i do której się bezustannie wzdychało, była majówka. Noc poprzedzającą dzień 1. maja spędzało się najczęściej w bezsennem rozdrażnieniu lub w gorączkowych snach. Przed rozpoczęciem nauki w dniu tym uroczystym wypisywał najlepszy kaligraf w klasie na tablicy wiersz, w którym sensu doczytać się trudno było, lecz którego myśl tak ks. profesor jak i my doskonale rozumieliśmy. Wiersz ten opiewał jak następuje:

Heute ist der erste Mai —
Alle Schuler bitten frei (sic)
Wer wird uns die Schule schenken
Dem werden wir ewig denken. (sic).

Jeżeli wiosna była wczesna, a dzień 1. maja zapowiadał pogodę, tedy obchodził ks. rektor klasy i kazał się nam gromadzić o oznaczonej godzinie przed gimnazyum. W przeciwnym razie odbywała się majówka w najbliższy piękny dzień majowy. Wieść o mającej się odbyć majówce roznosiła się lotem błyskawicy nietylko po Buczaczu lecz i po najbliższej okolicy. Roznosili ją żydkowie sprzedający pierniki, obwarzanki i inne studenckie łakocie. Czynili to w własnym interesie, wiedząc dobrze, iż tem więcej towaru swego sprzedadzą, im więcej gości na majówkę się zbierze. Uzbrojeni w piłki, kiczki, obręcze i inne przybory do zabawy wyruszaliśmy z muzyką na czele parami do monasterku. Były to ruiny klasztoru bazyliańskiego zburzonego przez podjazd tatarski, ponoś podczas rebelii kozackiej, położone wśród lasów w uroczej okolicy na górze nad Strypą. Już zrana wysłani robotnicy z kilkoma starszymi uczniami robili przygotowania do zabawy potrzebne: urządzali darniowe ławeczki, altanki z gałęzi świeżym liściem pokrytych, oczyszczali miejsce do tańców itp. Wraz z OO. Bazylianami kroczyli wszyscy honoratiores miasta ze swemi rodzinami za pochodem studenckim. Wśród wesołych śpiewów i gwaru przybywaliśmy na miejsce, gdzie często zastawaliśmy już obywatelstwo okoliczne oczekujące nas z ogromnemi zapasami chleba, masła, sera, wędlin i innych artykułów żywności. Dla OO. Bazylianów znalazła się niejedna butelczyna maślacza lub miodku starego. Do zabawy rozdzielała się wiara na kilka grup: starsi uczniowie puszczali się w pląsy z płcią nadobną przybyłą z rodzicami, młodsi schodzili na dół nad Strypę i grali w piłkę, wolanta, w kotka i myszkę itp. Zapasy żywności znikały wśród zabawy z zadziwiającą szybkością, starszyzna zakupywała wśród radosnych okrzyków młodzieży całe kosze pierników, obwarzanków, ciastek — i dzień zbiegał jak jedna chwilka, a odgłos trąbki wzywającej do powrotu brzmiał pewnie niemniej strasznie jak trąba archanioła. Wśród rozgłośnych wiwatów dla szczodrobliwych dawców artykułów żywności i przysmaczków żegnano się i powracano wśród tajemniczego mroku wieczornego do domu. Wspomnienie mile przepędzonej majówki długo jeszcze nie dawało młodzi szkolnej do równowagi umysłowej powrócić, lecz dura lex i rózga jak miecz Damoklesa wisząca nad głową spychały życie nasze na normalne tory.

Zimową porą były rozrywki nasze mniej urozmaicone: ograniczały się na ślizgawce, biciu żydów i robieniu bałwanów ze śniegu. Strypa dawała ślizgawkę, o jakiej tylko marzyć wolno krakowskim sportsmenom łyżwiarskim. Każdy większy mróz powodował wylanie wody na wierzch lodu, to też bez zamiatania, bez zlewania wodą miewaliśmy szybę lodu gładką jak szkło, długą nieraz na milę. Łyżwy używane w świecie cywilizowanym należały w owych czasach w Buczaczu do rzadkości: większość ślizgających się kontentowała się kawałkiem drewna o grubym drucie pod spodem. Łyżwę taką przymocowywało się do jednej nogi, a drugą nogą tak jak wiosłem popychało się naprzód. Kiedy się już do pewnego rozpędu doszło, podnosiło się wolną od łyżwy nogę do góry i wskutek bezwładności sunęło się na jednej nodze kilkadziesiąt kroków, Używający dwóch łyżew należeli do arystokracyi łyżwiarskiej, na którą z pewną zazdrością spoglądano. Ślizgawka była zarazem polem bitwy między studentami a żydami. Utarczki odbywały się zwykle w sobotę, kiedy jedna strona wojująca wolną była od handlu i szacherki, a druga od nauki. Strypa oddziela część studencką miasta od żydowskiej i stanowi pas graniczny między obydwiema częściami. W sobotę zaraz po objedzie zjawiało się zwykle z obydwóch stron po kilku wojowników, którzy jak harcownicy rzucaniem kul śniegowych lub szermierką ustną wyzywali przeciwnika. Powoli coraz większe siły wchodziły w wir bitwy, tak że pod wieczór toczyła się już walka zażarta. Ponieważ po naszej stronie występowano zwykle zaczepnie, a żyd jak wiadomo jest kiepskim żołnierzem, zwycięstwo było prawie zawsze po naszej stronie. Często udawało się nam oskrzydlić jakiś oddział nieprzyjacielski, a wtedy biada jeńcom wojennym, vae victis! Kułaki i szturchańce sypały się jak grad. Jeżeli nieprzyjaciel na całej linii zaczął rejterować, wtedy wpadaliśmy w kraj nieprzyjacielski, wybijaliśmy mniejszą lub większą ilość szyb i wracaliśmy z tryumfem do domu. Tryumf ten bardzo podobnym bywał do ucieczki z obawy, by nieprzyjaciel przeważnych sił nie zgromadził i odwrotu nam nie odciął. Ani władze bezpieczeństwa publicznego reprezentowane przez trzech policyantów uzbrojonych w zadrzewiałe i do pochew przyrośnięte szable, ani OO. Bazylianie nie mięszali się do walk naszych; a wszelkie skargi i zażalenia naszych przeciwników bywały zawsze bezskutecznemi, bo winowajcy wyszukać niebyło można, a raczej nie szukano go nigdy. Za mego pobytu w Buczaczu nie zdarzyło się ani razu, by który z nas dostał się do niewoli, to też ponieważ nie było jeńca, nie było i winowajcy, zwłaszcza, ze OO. Bazylianie pomnąc na własną młodość z żydami w żadne rozprawy się nie wdawali, ani też dochodzeń za winnym nie czynili.

Jednym z wybryków studenckiego humoru i fantazyi było tajemne wydawanie satyrycznego pisemka pod tytułem «Cichołaz.» Jak tytuł nadany temu pisemku był właściwym, jak rzeczywiście cicho łaziło, dowodzi ta okoliczność, że przez cały rok wychodziło a sprawców pomimo dochodzeń władzy politycznej i OO. Bazylianów, pomimo kilkanaście razy przeprowadzonych nocnych rewizyj nie odkryto. Rzecz naturalna, że gdzie niema i nie było ani jednej jawnej drukarni, tam też i o tajnej nie myślano. Cały tekst był pięknem pismem pisany, a tytuł bardzo ozdobnemi literami wyrysowany. Po pierwszej nieudanej nocnej rewizyi, którą p. naczelnik powiatu, Bezirksvorsteher, po wszystkich studenckich stancyach zarządził, znalazł tenże p. naczelnik obudziwszy się jednego z najbliższych poranków numer «Cichołaza» swej osobie wyłącznie poświęcony, którego tytułowe litery z samych ogromnych nosów się składały. Żałuję mocno, że mi zaginęły egzemplarze tego pisemka, które posiadałem, bo zawierały nieraz wiele dowcipu, a forma wiersza była często bardzo zręczna i poprawna.

Parę urywków zapamiętałem, przytoczę je więc.

Uczył w Buczaczu rysunków i kaligrafii świecki nauczyciel, którego niemieckie nazwisko oznaczało po polsku długość. Otóż ten długi nauczyciel konkurował przez kilka lat o pewną pannę, z którą się ostatecznie ożenił. «Cichołaz» poświęcił tym konkurom wierszyk, którego początek i koniec zapamiętałem:

Długo zwie się, długo zwleka,
Długo chodzi, panna czeka,
. . . .
. . . .
A Cichołaz wnosi z tego:
Długo czekać na długiego.

Dyrektor szkół normalnych ks. Ł. jeździł po parę razy na tydzień do sąsiedniej wioski. Na tle tych częstych przejażdżek usnuto ploteczkę, którą «Cichołaz» w szatę wierszowaną ubrał:

Że przykładnym jest kapłanem,
Poważanym i kochanym,
Tego przeczyć nikt nie może —
I nas chroń od tego Boże!
Lecz któż mierzy jego kroki?
A że jeździ do Przewłoki,
Na to łatwą ma wymówkę:
Tam pociesza jakąś wdówkę.

Skreśliłem te wspomnienia moje z całą świadomością, że rzecz nieudolnie wypadnie, lecz zarazem w zarozumiałem przypuszczeniu, że odczyta je może ktoś z dawnych studiozów bu-

czackich, a znalazłszy w robocie mej wzór, jak się wspomnień pisać nie powinno, weźmie assumpt do pisania swoich własnych spostrzeżeń. W każdym razie rzecz warta trudu, gdyż szkoły buczackie tracą coraz bardziej swój indywidualny charakter, a za lada lat dziesiątek ani śladu dawnej odrębności nie pozostanie. Jakażby to pyszna rzecz była, gdyby p. Lam, którym Buczacz jako swym uczniem się szczyci, wspomnienia swoje buczackie spisać zechciał.

Zygmunt Prawdzic.

RAJ UTRACONY.

Przez Elizę Polko.

W bogatej grupie poetów starej Anglji, obok głów Shakespeara, Drydena, Spencera, Adissona aż do pięknego Keatsa i dziwacznego Byrona, najdłużej zatrzymujemy spojrzenie na jednym szlachetnym profilu, na jednem delikatnie odznaczonem obliczu z głębokim wyrazem cierpienia koło ust. Oczy są łagodnie przymknięte jak u marzyciela; lecz właśnie oczy te pozbawione są światła bożego, na czole leżą poważne chmury myśli. Jest to głowa Johna Miltona, autora Utraconego Raju.

Szczegolny urok miał dla mnie ten tytuł, jakby daleki, legendowy dźwięk dzwonów brzmiał niegdyś mi w uchu, gdy nauczyciel mój w czasie lekcji literatury po raz pierwszy go wymówił. Przysłuchiwałem się: jakżeż niewypowiedzianie smutnie to dzwięczało: utracony raj! Z podwójną pilnością uczyłam się po angielsku, ażeby tylko módz jak najprędzej «the lost Paradise» przeczytać. A jednak dziwnem zrządzeniem mimo owej chęci nie przyszło do tego w rożanej porze młodości. Kto jak ja żył w raju wesołym, ten za utraconym rzadko się ogląda.

Później aż, ów melancholiczny dźwięk «lost Paradise» znowu wzruszył mnie do głębi, wzięłam w końcu poważny poemat do ręki. Przeczytałam go i rozmarzyłam się. Lecz nie to co Miltona rymy opowiadały, poruszało duszę moją; pomiędzy wierszami odkryłam właściwy raj utracony serca poety, a delikatna złota nitka, którą odnalazłam powiodła mnie do dużego miedziorytu wiszącego naprzeciw. Napis u spodu brzmiał: the happy days of Charles the first» (szczęśliwe dnie Karola I-go), a rysunek przedstawiał bogatą gondolę, płynącą do wesołego jeszcze wówczas Tow'ru. Elegancki bacik przepełniony był pięknemi i strojnemi bogato osobami; wszystkie twarze mężczyzn i kobiet jaśniały szczęściem i swobodą, dwie tylko główne figury wyglądały poważnie. Urocza kobieta w wspaniałych szatach zasianych perłami i kamieniami drogiemi, której niezliczone drobne loczki odrzucone z czoła kosztowne agrafy podtrzymywały, pochyliła wdzięczną twarzyczkę na brzeg gondoli i marząco przyglądała się falom. Odwrócony od niej stał król Karol z posępnem czołem i z sławnemi melancholicznemi Sztuartów oczyma, które spoglądały z takiem znużeniem. Może nużył ich przepych, nużyła korona, nużyła śliczna faworyta.

Postać kobieca była skarbem gorącego, młodego serca poety, dziewczyną z gminu, piękną Ellen, wnuczką starego organisty z kościoła św. Pawła.

Dom rodziców Johna Miltona leżał w pobliżu pysznej świątyni, a uczony artysta był nauczycielem uzdolnionego chłopca. Mało jest ludzi, którzyby się z tak wykwintnem upodobaniem nurzali w złotem strumieniu muzyki jak John Milton. Z roskoszą przepędził był życie na ławce przy organach, gdyby był ojciec pozwolił. Organy w jego pojęciu tworzyły treść pięknego brzmienia, były jedynym instrumentem, godnym świętej Cecylji, na której usługi poświęcił się tak chętnie.

Stary organista sam nieraz przemówił dobre słowo do sąsiada, chcąc go nakłonić, żeby nie krępował woli syna, lecz nadaremnie, John powinien i musiał studjować teologją. W największym sekrecie tylko w sąsiednim domu mógł poświęcać się swej namiętności muzycznej. Przepędzał też tam wszystkie wolne chwile. Słuchał, uczył się i pracował. A pracy było w istocie pod dostatkiem, bowiem gdy John nie siedział przy szpinecie lub nie kalikował w kościele, to czytał i pisał z wnuczką starego, złotowłosą Ellen, która równego z nim wieku, była najweselszem i najwdzięczniejszem stworzeniem, jakie oczy jego widziały. Kochał w niej wszystko co tak często opłakiwał: matkę straconą wcześnie, siostrzyczkę zmarłą w zaraniu; a lok tej towarzyszki natchnął go do napisania pierwszego wiersza.

Z jakąż dumą prowadził ją na przechadzkę, gdzie oczy przechodzących zwracały się ciągle z podziwieniem na tę smukłą postać dziewiczą, na tę różową śmiejącą się twarzyczkę z dużemi ciemno orzechowemi oczami. Miała coś niezwykłego w sposobie noszenia głowy, a ubierała się ładnie z starannością, co w sąsiedztwie nadało jej imię księżniczki. Widocznie była przywiązaną do Miltona, swego towarzysza, brata, doradcy i często mówiła pół żartem, pół prawdą, że chciałaby mu towarzyszyć, gdy będzie musiał odjechać na uniwersytet do Cambridge.

Nieszczegolnie pilną była w czytaniu i uczeniu się piękna Ellen, jedynie historja Anglji zdawała się ją zajmować, a w tej historji głównie dom Stuartów. Godzinami całemi bez znużenia mogła pytać i słuchać o pięknej królowej szkockiej, która fatalny wdzięk swoich cudownych oczu spadkobiercom przekazała. John Milton również był nieznużony w opisywaniu ócz Sztuartów i w opowiadaniu bajek o ich czarze, któremu ani mężczyzna ani kobieta oprzeć się nie mogli. Także miłosną pieśń Marji Sztuart ułożoną po śmierci ukochanego Franciszka musiał Elli często śpiewać i grać:

«En mon triste et doux chant
D'un ton fort lamentable
Je jette un oeil touchant
De perte irreparable» — — —
(W mym smutnym słodkim śpiewie
Wzruszającego tonu
Rzucam wzrok rozrzewniony
Za stratą nienagrodzoną).

Melodya była tak smutną jak słowa, a dziwny dreszcz go przejmował, gdy jej świeży wesoły głosik nócił:

En mon triste et doux chant»

Wyobrażał sobie życie jej pełne blasków słonecznych i kwiatów, a te blaski on jej przyniesie, te kwiaty on zerwie. Strzedz, nosić, czcić, pragnął ją jako żonę i kochankę, było to skrytem marzeniem jego serca. Musi stać się wielkim i uczonym człowiekiem, sławę, zaszczyty, złoto, musi zebrać, ale tylko na to, żeby wszystko złożyć u maleńkich stóp Ellen. Budował urocze zamki powietrzne młody przyszły poeta! A ta, do której odnosiły się wszystkie jego myśli starania i dążenia, siedziała spokojnie obok niego, nic nie przeczuwając, przy małem owiniętem hederą oknie wychodzącem na ulicę, nad rozłożoną książką, z której mu właśnie czytała. Światło słoneczne padało jej na włosy, na młode wesołe czoło i czyste linje profilu. I kiedy głowę powoli podniosła, książkę zamknęła i spojrzała na niego ciemnemi oczyma, prosząc cicho: «już dosyć, nie mogę więcej czytać, opowiadaj mi o oczach Sztuartów» — wówczas owe bajki wydały mu się tak dziecinne i nędzne w obec ócz tych, które podług jego mniemania czarowniejsze i więcej zniewalające były niż samej Marji szkockiej.

A gdy król Karol I. koronował się i Londyn cały na festyn ludowy na zieloną łąkę się zgromadził, wówczas John Milton

towarzyszył tam swojej «siostrze Ellen» i tam po raz pierwszy Stuarta oczy, śmiejące oczy dziewczęcia spotkały. Róża zakwitła na drodze królewskiej w Ellen postaci, zerwał ją, ale była dla niego tylko kwiatem, którego woń «uprzyjemniła chwilę», nic więcej.

Czy John Milton los swój przeczuwał? nigdzie nie napisano. W dniu, w którym piękną Ellen chciał pożegnać, gdyż następnego poranku bardzo wcześnie musiał wyjechać do Cambridge, zastał ukochaną tajemnie w wielkiem wzruszeniu przy oknie. Nie spostrzegła zdaje się jego śmiertelnie bladego oblicza, ponieważ zawołała wesoło:

— «Przychodzisz w dobry czas, król za chwilę nadjedzie».

— Chciałbym cię pożegnać—odpowiedział i podał jej pierwszą różę, ktorą przyniósł dla niej.

Wzięła ją z roztargnieniem. «A więc będziesz pilny i wrócisz niezadługo jako mąż uczony — rzekła lekko — patrz — tam już ukazują się heroldy.

Małą rączkę z różą oparła o ramę okna. Jakżeż drżała.

— Czy zechcesz myśleć o mnie nim wrócę Ellen? prosił bojaźliwie, pochylając się nad nią.

Skinęła tylko z uśmiechem, a policzki płonęły jej coraz więcej.

— A gdy powrócę—ciągnął z głębszem wzruszeniem.—Cóż obchodziła go wrzawa uliczna! Wiedział jedynie, że pożegnać się musi z towarzyszką, z przyjaciółką, która kiedyś ma być jego na wieki.

— Król! — wykrzyknęła.

Fanfary zabrzmiały przeraźliwie, przeciągał tamtędy świetny pochód; heroldy i giermki na bogato strojnych rumakach tworzyli straż przednią, rycerze i paziowie postępowali za nimi, a potem dopiero ukazał się król z ulubieńcem swoim Strafford'em w pysznym orszaku. Blade melancholijne oblicze Karola I-go zwróciło się do okna okolonego bluszczem, cudowne oczy Sztuarta szukały, znalazły i pytały.

Odpowiedziałyż mu oczy dziewczęce? Róża Johna Miltona wyślizła się z rąk pięknej Ellen i upadła u stóp królewskiego namiotu. Nikt tego nie zauważał, słodko woniący kwiat przydeptały końskie kopyta.

Wtedy młodzi pożegnali się. Słowo, które drżało na ustach Miltona pozostało niewymówione, Ellen patrzała na niego tak promiennie wesoło i mówiła o zobaczeniu się.

— Myśl o mnie — rzekł kilkakrotnie,—wreszcie rozstali się na zawsze.

Lecz widział ją jeszcze raz, zdaleka piękną Ellen, pierwszą miłość swego serca, swoją różę, swój skarb, jako własność innego. W wspaniałej królewskiej gondoli siedziała by prawdziwa księżniczka, wnuczka starego organisty z kościoła św. Pawła, śliczna jak marzenie. Ale była bladą i wyraz nieskończonego bólu otaczał usta jej, które niegdyś śmiały się tak wesoło. Widział to ktoś ukryty w tłumie, widział i z rozdartem sercem pozdrowił ją tajemnie po raz ostatni w życiu.

Biedna Ellen! Twój krótki upajający sen o szczęściu zbliżał się ku końcowi,—niestałe, niespokojne oczy Sztuarta oglądały się już za innym kwiatkiem, król znudzony różą wypuścił ją z dłoni, nie troszcząc się o los jej.

I ktoś znów stał na grobie opuszczonej i przysięgał w sercu krwawą zemstę owemu nieprzyjacielowi, który wydarł mu skarb najdroższy.

Był to pierwszy raj utracony Johna Miltona.

W wiele lat później Milton wynurza się obok demonicznej postaci Cromwella jako jego prywatny sekretarz. Z namiętnem poddaniem przywiązał się do potężnego władcy, a współcześni byłego teologa wliczają do wpływowych doradców dyktatora, którego głos był rozstrzygającym w zasądzeniu Karola pierwszego na śmierć.

Piękna Ellen została pomszczoną.

Sławny poemat «the lost Paradise» dyktował ociemniały poeta córce swojej w roku 1666. Dwanaście pieśni ukazało się zaraz w następnym roku, jednak te mimo piękności swojej nie miały powodzenia. W złudzeniach wszelkiego rodzaju, w chorobie i w ciemności muzyka pozostała jedyną pociechą Miltona, ukochane organy były zawsze dla niego rajskim ogrodem, z którego nikt go nie mógł wypędzić. Jeszcze dniem przed śmiercią kazał się do nich zaprowadzić, osłabione palce dotykały klawiszy bez dźwięku. Szukały może w wspomnieniu pierwszego utraconego raju gorącej miłości owej melodji, którą grał niegdyś, gdy piękna Ellen obok niego siedziała i słodkim dawno już przebrzmiałym głosem pieśń królowej Marji nuciła:

«En mon triste et doux chant
Dun ton fort lamentable
Je jette un oeil touchant
De perte irreparable.»

PRZEGLĄD LITERACKI.

Adam Kuliczkowski. Zarys dziejów literatury polskiej. Wydanie trzecie przerobione. We Lwowie. Nakładem Seyfarta i Czajkowskiego 1884.

Kiedy przed laty dwunastu pojawiło się pierwsze wydanie tego dziełka, mającego na celu wypełnienie dotkliwego braku podręcznika tak dla nauki prywatnej jak i szkolnej, podniosły się wnet głosy uwłaczające autorowi i pomawiające go o plagiat z wykładów prof. Małeckiego. Ile na tem było prawdy: wyjaśnił sam autor, w odpowiedzi, prof. Małecki zaś nie wyrzekł w tej sprawie stanowczego zdania, bo widocznie trzymał się słusznej zasady, że przyjęcie podziału literatury na okresy nie jest plagiatem. Książka mimo usiłowań niechętnych znalazła przychylne przyjęcie; w r. 1879 pojawiło się wydanie drugie, w którem autor otrząsł się z przesądów nazywania okresów „klasycznymi“ “narodowymi“ itp. i pouzupełniał zmiany, które w przeciągu lat siedmiu się wydarzyły, zresztą niewiele przeistoczywszy.

Niniejsze wydanie jest w rzeczy samej „przerobione.“ Najpierw usunął autor podawane na czele każdej epoki poglądy na dzieje ojczyste, „jako mniej przydatne“ w obec nauki tych dziejów w szkołach; wykreślił dalej ustęp „o pomnikach pisma runicznego“ jako rzeczy wątpliwej, opracował dokładniej rzecz o kronikarzach i uwzględnił najnowsze badania nad pomnikami języka polskiego w epoce pierwszej (tj. do roku 1500). W epoce Zygmuntowskiej podniósł znaczenie humanizmu, uzupełnił rzecz o poetach wzmianką o Wiszniowskim, Gorczynie i Trzycieskim. Maryckiemu poświęca słusznie zamiast przypisku osobny ustęp, obok Warszewickiego wymienia kilku ważniejszych mowców politycznych, obok Brosciusa innych matematyków. Uwzględnia też Heweliusza i Jonstona w następnej epoce, poświęca obszerniejsze wzmianki historyografom, równie jak przy Kołłątaju mowcom politycznym mniejszym, którzy atoli na wzmiankę zasługują. W epoce najnowszej poświęca osobny ustęp Al. Chodźce i Jul. Korsakowi, wyłączając słusznie Fr. Morawskiego ze szkoły Mickiewicza, wraz z Góreckim i Garczyńskim; w dziale tłomaczów, poetów i poetek, wspomina obszerniej o młodszej generacji, na której czele stawia słusznie Asnyka. W podobny sposób z postaci drugorzędnych jeszcze w 2. wydaniu potworzył pierwszorzędne w osobach Zygm. Miłkowskiego (T. T. Jeża), Al. Tyszyńskiego, Jul. Bartoszewicza, ks. Fr. Ksaw. Malinowskiego, tylko co do El. Orzeszkowej, Henryka Sienkiewicza, ks. Wal. Kalinki, prof. Tarnowskiego uczynił to zdaniem naszem za wcześnie.

Całość więc przedstawia się bardzo dobrze; zarzucićbyśmy tylko mogli autorowi niepotrzebne omawianie rękopismu królodworskiego i w ogóle zbyteczne rozszerzanie się nad „pomnikami pobratymców“, a natomiast brak na czele okresów zestawienia odnośnej literatury monograficznej, szczególnie „w podręcznym użytku“ koniecznej. Mimo to książka p. Kuliczkowwskiego pozostanie jak na teraz najlepszym w swym rodzaju podręcznikiem, który słusznie cieszy się ogólnem wzięciem. *R. Z.*

Jana Ostroroga żywot i pismo o naprawie Rzeczypospolitej. Studyum z literatury politycznej XV. wieku przez Adolfa Pawińskiego. Warszawa 1884.

W ostatnich latach zwróciła na siebie oczy badaczów postać Ostroroga, jednego z najwybitniejszych statystów XV. wieku. Profesorowie Bobrzyński i Caro, przed nimi zaś jeszcze St. Wegner starali się bądź to dociec do szczegółów jego życia i pochodzenia, bądź przedstawić znany memoryał we właściwem świetle.

Obecnie zabiera głos w tej sprawie prof. Pawiński na podstawie zbadanych aktów i przedstawia w niejednym punkcie różne od poprzedników zapatrywania. A więc rok urodzenia Ostroroga cofa o lat 10 (zam. 1420 „około 1430“) ustanawia czas napisania memoryału na koniec roku 1456. (zam. podawanych lat 1477 lub 1455) wątpi słusznie w jego studya Bonońskie i otrzymanie tamże stopnia doktora, zbija przypuszczenia prof. Caro co do myśli Ostroroga, których w dziełku niema, a przedewszystkiem przypuszczenie, że dziełko to jest przekładem lub naśladowaniem niemieckiego dziełka Fryd. Reisera „Reformatio Sigismundi imperatoris.“

Po tym obszernym żywocie Ostroroga (str. 1—120) następuje tekst memoryału z przekładem polskim tak, że tekstowi łacińskiemu po lewej odpowiada stronica przekładu polskiego po prawej stronie. Za szczególną zasługę prof. Pawińskiego poczytujemy wydobycie z bibl. cesarskiej w Petersburgu autentyku mowy Ostroroga, przed papieżem Pawłem II. w r. 1467 mianej, którą również z przekładem polskim (od str, 182—191) podaje.

Całe dziełko, jedyne w swoim rodzaju i wzór podobnych monografij, kończy tablica genealogiczna Ostrorogów w XV. wieku, dokumenta do żywota i dwie podobizny podpisu Jana Ostroroga.

R. Z.

PRZEGLĄD ARTYSTYCZNY.

Z TEATRU.

W ostatnim numerze naszego pisma nie umieściliśmy zwyczajnego sprawozdania teatralnego, ponieważ w poprzedzającym ów numer peryodzie teatr nie obdarzył nas żadną nowością.

Był to już peryod benefisów, trwający jeszcze i dotychczas.

W dniu 17 lutego odbył się benefis p. Mieczysława Frenkla, który obrał sobie jedną z najdawniejszych komedyj V. Sardou *„Małomieszczanie“* (*Les bourgeois de Pont-Arcy*), Sztuka ta należy do najświetniejszej epoki w twórczości słynnego dramaturga francuzkiego, do epoki, w której ukazały się tak pierwszorzędnej piękności rzeczy, jak *„Safanduły“ „Nasi najserdeczniejsi“ „Rabagas“* itd., a która w obec najnowszych tegoż autora utworów, jak np. w obec wysławionej nad wszelką miarę i wartość *„Fedory“* dowodzi, że i talenta ludzkie, jak wszystko w naturze, mają swój zenit, po którym nieubłagalnie i niezbędnie musi nastąpić dekadencja. *Małomieszczanie* noszą na sobie wszelkie cechy talentu w zenicie, którego płody nie zestarzeją się nigdy, zawsze tchnąć będą świeżością i siłą, zawsze zajmować i wabić tłumnie będą ku sobie wykształconego smaku publiczność.

Tłumne zebranie się widzów na przedstawienie benefisowe p. Frenkla miało niewątpliwie i inny jeszcze powód: było ono uznaniem dla beneficyanta, który też na to dobrze sobie zasłużył. Chociaż bowiem działalność p. Frenkla na naszej scenie bardzo jest niedługą, potrafił on jednak wyrobić sobie głęboko ustaloną opinją artysty, uposażonego wyższym talentem, o zakresie szerokim i wielostronnym. Wszyscy, których rozwój naszego teatru interesuje o tyle, że nie zaniedbują w nim bywać, uznają niezawodnie, że p. Frenkel nigdy żadnej powierzonej sobie roli nie obniżył, a wiele z nich podniósł, z wielu stworzył prawdziwie artystyczne kreacje, że wspomnimy tu tylko o bankierze w *Złotym Cielcu*, o tancmistrzu w *Nieszczęśliwych*, o pułkowniku w *Domu otwartym* itd. itd. aż do tak przewybornie pojętego i tak prześlicznie w każdym szczególe interpretowanego szlachcica Koziatyńskiego w komedji *Górą nasi.*

Małomieszczan w teraźniejszej nowej obsadzie odegrano u nas starannie i dobrze. Beneficjant w roli Andrzeja Brochat, pani Hoffmanowa jako Klara, panna Sułkowska jako Marcelina i panna Wojnowska jako pani Cattenet, zyskiwali mnóstwo oklasków. W innych też rolach, aż do najpodrzędniejszych, nie dostrzegliśmy żadnego dysonansu.

W tydzień potem (24 lutego) nastąpił benefis p. Podwyszyńskiego, artysty także cenionego u nas wysoce, jako ten, co poważnie zapatrując się na sztukę, szanując swój zawód, posiadając inteligencją do trafnego zrozumienia każdej roli, tudzież niezaprzeczone wyższe zdolności i środki do dobrego jej oddania, nigdy swego talentu nie nadużywa i nie profanuje, nigdy nie czyni zeń narzędzia do zyskiwania łatwych oklasków, lecz wszelkie powierzane sobie role tak traktuje, by z nich wyciągnąć możebną sumę efektów godziwych i estetycznych, by stwarzać typy tchnące życiem i prawdą, obcą wszakże grubemu realizmowi.

P. Podwyszyński wznowił na swój benefis oddawna u nas nie dawaną komedję K. Zalewskiego *„Przed ślubem“*, co w obec rozgłosu, jaki sobie imię tego autora ostatniemi czasy zyskało przewyborną komedją *„Górą nasi“*, było zaprawdę bardzo trafnym i szczęśliwym wyborem.

Beneficyant wykonał niezmiernie trudną do odtworzenia rolę Augusta Nowomiejskiego, jestto bowiem postać, która pod maską cynicznego prawie sceptycyzmu i ironji, i pod szpetną powierzchownością, kryje niewyczerpane skarby serca i ducha, zdolność do miłości głębokiej, przyjaźni bez granic i poświęcenia prawie bohaterskiego. Pan Podwyszyński wykonał tę rolę w sposób przynoszący mu prawdziwą chlubę a widzom zadowolenie wysoce estetyczne. Było wiele miejsc, gdzie artysta potrafił wzruszyć widzów prawie do łez.

Pan Szymański przewybornie odtworzył typ wystygłego biurokraty i egoisty Dreckiego. P. Stępowski bardzo ładnie odegrał rolę poczciwego profesora Uszyńskiego. Panna Wojnowska była tak prawdziwą niby wielką damą, a w istocie lafiryndą, panią Łucką, że zdawało się widzom, iż ją znają oddawna. Panna Kałużyńska dobrze odegrała rolę Heleny.

Panna Kałużyńska, o której niezaprzeczonym talencie wyższym i bezprzykładnej prawie wytrwałości w pracy, wielkiem zamiłowaniu artystycznego zawodu i najrzadszej między zaletami artystów skromności, nie będziemy tu się rozszerzali, nieraz już bowiem mówić o tem wszystkiem mieliśmy sposobność, wybrała na swój benefis (d. 2. marca) bodaj czy nie jedyny prawdziwie piękny dramat Szujskiego *Halszkę z Ostroga.*

Dramat ten, pisany w epoce, kiedy Szujski nie był jeszcze historyozofem tendencyjnym i namiętnym doktrynerom politycznym, bo młodość dawała mu skrzydła zdolne do podniosłych poetycznych polotów, tchnie rzeczywiście wonią prawdziwej poezji.

Pannie Kałużyńskiej też należy się wyraz szczerego uznania jak za wybór sztuki benefisowej, dowodzący, że artystka posiada smak estetyczny i na dobrych wzorach go kształci, tak też i za wykonanie roli tytułowej, które było jedną z kreacyj w repertuarze panny K., zupełnie, *ale to zupełnie* wolnych od usterek przesady i manjerowanego patosu, a natomiast tchnących na wskroś artystyczną prawdą i miarą, niekłamanem uczuciem i rzewnością szczerą jak łza uroniona w serdecznej boleści.

Publiczność, przepełniająca teatr po brzegi, osypywała beneficjantkę takiemi oklaskami, że starczyły one jej z pewnością za brak wieńcowych i bukietowych owacyj, bo bezprzykładnym w kronikach naszego teatru sposobem, wywoływano artystkę po kilka do dziesięciu razy w każdym międzyakcie...

Pani Hoffmanowa wspaniale i mistrzowsko odtworzyła rolę księżnej Beaty, a pan Sobiesław wysoce tragiczną postać Dymitra odegrał bardzo pięknie, pięknie wyjątkowo, gdyż role bohaterskie nie zawsze mu się wiodą.

Wszyscy inni artyści grali sumiennie i poprawnie, z tym, że się tak wyrazimy, pietyzmem dla ładnego dzieła, który sprawił, że w trudnym *ensemblu* tak poważnej i podniosłej sztuki nie było prawie żadnego dysonansu.

P. Arwin, jak wiadomo, jest artystą pożytecznym i zdolnym, ale działalność jego rzadko może sięgać po za zakres tych ról, których sam rodzaj (*bouffe*) wymaga komicznej szarży, zyskującej najtańsze i najłatwiejsze oklaski. Jedną rolą tylko młody ten artysta w bieżącym sezonie podniósł się dość szczęśliwie nad swój zwyczajny, lekko-komiczny poziom — rolą Giboyera w *Bezczelnych*, którą powiodło mu się zrozumieć trafnie i odegrać poważnie. Nie jest to bynajmniej dla p. Arwina ujmą, że ma zdolność i skłonność do ról effektownie i hałaśliwie komicznych, bo każda zdolność sceniczna zasługuje na swego rodzaju uznanie, które też i p. Arwinowi się należy, tembardziej, że niejedną zawdzięczamy mu wesołą chwilę. Ale objawy uznania winny mieć właściwe granice, podług przysłowia „według stawu grobla.“

Ztąd dajemy wyraz współczucia dla p. Arwina za nietaktowne manifestacje jego przyjaciół obok wyrazu szczerej dla jego działalności sympatji. Należy mu się on od nas słusznie jako akt sprawiedliwości i poręka, że szumna owacja dlań urządzona była mu niespodzianką wcale niemiłą. Należy się to p. Arwinowi tembardziej, że przez wybór na swój benefis tak znakomitej sztuki jak *Wesele Figara* i tak trudnej dla siebie roli jak tytułowa, dał dowód wykształconego smaku i wskazał niejako cel, do którego jego talent dąży.

Któż nie zna nieśmiertelnej komedji Beaumarchai'go, która przed stu laty, piętnując wadliwy i pełen niesprawiedliwości ustrój społeczeństw współczesnych, dała pierwsze hasło do wyzwolenia ludu z przemocy i despotyzmu kast i pchnęła pierwsza całą ludzkość na nowe tory? Któż niewie, że *Wesele Figara* jako część słynnej po wszystkie czasy trylogji Beaumarchego, więcej może i skuteczniej przygotowała grunt pod krwawe i straszne, lecz niezaprzeczenie zbawienne w skutkach, wypadki wielkiej rewolucyi francuskiej, która zreformowała zasadniczo i na zawsze ustrój świata i ludziom ludzkie przywróciła prawa?

Współczesna krytyka przewidywała, że na *Wesele Figara*, „przyszłe pokolenia za sto lat jeszcze uczęszczać będą“...

I nie omyliła się. Sto lat minęło, a komedja Beaumarchego zawsze ma urok, zawsze wabi do teatru widzów. Tylko urok jej dzisiejszy jest innego już rodzaju niż przed wiekiem. Strona jego główna, strona polityczna już zbladła i opadła, jako kłos dojrzały. Dla nas pozostała tylko strona archeologiczna i wiecznie kwitnąca piękność nieśmiertelnego dzieła scenicznego.

To jednak dziś jeszcze wystarcza, że *Wesele Figara* nie schodzi z repertuaru całego świata i wszędzie wabi widzów.

I u nas na dwóch z rzędu przedstawieniach było pełno. A był to *succés d'estime* wyłącznie samej komedji, gdyż rola Figara, na której cała rzecz się opiera, była graną słabo, na czem oczywiście musiała szwankować i całość, pomimo dobrej gry p. Hoffmanowej jako Zuzi, p. Frenkla jako Brid-Oison, pana Solskiego w roli Basilja itd.

O ostatnim z kolei benefisie, pana Sobiesława, mało co mamy do powiedzenia. W upartym połowie za sztuką *nową* koniecznie p. Sobiesław trafił bardzo niefortunnie. Grano niby to komedja, niby dramat francuzki pp. Gondinet i Veron „Oszołomieni.“ Sztuka ta jako komedja jest kolosalnie nudna, komiczna tem chyba, że widzowie na niej komicznie drzemią; jako dramat wielce nieudatna i ckliwa, tak, że jedyną w niej traiczną stroną jest rozpacz widzów którym za cztery godziny nudów kazano jeszcze zapłacić... Runęła też ta sztuka bez ratunku po pierwszem przedstawieniu.

P. Sobiesław jednak w nagrodę swych dawnych zasług, talentu i pożytecznej pracy w ostatnich czasach miał benefis dobry, mnóstwo powitalnych oklasków, a nawet kosztowny podarunek w upominku.

A. Z.

Ruch muzyczny.

Wieczór na cześć Słowackiego. Krakowska młodzież akademicka urządziła w dniu 10 marca b. r. wieczór uroczysty ku uczczeniu nieśmiertelnej pamięci Juljusza Słowackiego. Kierunek artystyczny wieczorku objął napowrót p. Wiktor Barabasz. W sprawozdaniach naszych z wieczorków Mickiewiczowskich dwóch lat ostatnich, czyniliśmy zarzut komitetowi urządzającemu, iż zamiast chóru akademickiego i produkcyj wykonanych przez słuchaczy uniwersytetu, słyszeliśmy na wieczorkach tych chór Towarzystwa muzycznego, lub znanych artystów, co nie odpowiadało zupełnie zadaniu podobnych wieczorów. Z prawdziwą uciechą przeczytaliśmy tegoroczny bogaty program wieczoru Słowackiego, na którego wykonanie składały się przeważnie siły własne młodzieży akademickiej. Jakiż miły widok przedstawił się tym razem dla oka, widząc po raz pierwszy na estradzie orkiestrę amatorską, złożoną z dwudziestu kilku członków, przeważnie akademików, jakoteż zorganizowany na nowo po dłuższej przerwie własny chór akademicki. Jedyną słabą stroną programu wieczoru poświęconego uczczeniu Słowackiego był brak choćby krótkiego odczytu, lub wzmianki o tym księciu poetów, dla wyróżnienia wieczoru tego od zwykłego koncertu.

Wykonanie utworów zawartych w programie było dobre. Na wstępie wieczoru odegrała orkiestra amatorska Serenadę (op. 63 F-dur) Roberta Volkmanna na instrumenta smyczkowe i wywiązała się z zadania swego, zważywszy na młode siły z zrozumieniem i znaczną już wprawą. Akademicki chór męzki odśpiewał „Pieśń żeglarzy“ Żeleńskiego, damski zaś chór wykonał koncert na trzy głosy żeńskie Jana Galla do słów: „W ogródku słowik nuci śpiew“. Sola żeńskie w tym chórze, jakoteż i w następnych śpiewały panny: Schöngut, Pochwalska i Harajewiczówna. Następnie wykonano Mendelsohna: a) pieśń z chórem b) finale z „snu nocy letniej“ i Noskowskiego antrakt i chór prządek z trzeciego aktu „Wieczornic“. Na zakończenie wykonał chór mięszany i orkiestra krakowska wspaniałe dzieło „Requiem“ Mozarta. Wykonanie 9 ustępów z wspomnianego dzieła było zadawalniające i wykazało pracę kierownika, a mamy nadzieję, iż wkrótce usłyszymy powtórzone całe dzieło tj. i te 2 numera, które tym razem opuszczono.

Panna Anna Kałużyńska, artystka dram. wygłosiła ustęp z poematu Piasta Dantyszka Słowackiego i zbierała za deklamacją swą huczne oklaski.

Rażącemi w tym wieczorze były pustki w sali koncertowej. Młodzież uniwersytetu Jagiellońskiego urządza dorocznie dwa uroczyste wieczory na cześć *Adama* i *Juljusza*, program tego ostatniego wieczoru był bogaty a publiczności mało; szczególniej zaś arystokracja nasza świeciła swą nieobecnością.

We środę dnia 12 marca odbył się u nas koncert panny Cognetti, młodej pianistki z Neapolu, uczennicy Liszta. Koncertantka ta posiada niezwykły talent, gorący temperament, nadzwyczajną pamięć (gra wszystko z pamięci) bardzo dobry układ rąk i wysoko już posuniętą technikę. Dosyć, gdy nadmienimy, iż szalenie trudną etiudę c-dur Rubinsteina pysznie wykonała. Lewa ręka u tej młodej artystki jest równie wyrobiona jak i prawa, szczególniej zaś w zgięciu jest nader elastyczną. To też pasaże, staccata wyszły we wspomnianej etiudzie prześlicznie. Zapał może zanadto dziś jeszcze porywa wirtuozkę, lecz za lat kilka będzie ona fenomenalnem zjawiskiem. Z wykonanych u nas utworów podnieść musimy „Erlkönig“ Schubert-Liszta, Etiudę Rubinsteina (op. 23 c-dur) i walc z „Fausta“ w układzie Liszta. Nad program wykonała koncertantka Preludium i Nokturn Chopina c-moll. Utwór Chopina pojęty był nieco odrębnie od innych pianistów, mimo to wykonany był sympatycznie. Dodać jeszcze musimy, iż gra panny Cognetti wyróżnia się siłą, a talent jej cechuje indywidualność i oryginalne pojęcie niektórych mistrzów. Śpiew traktowawany głębokiem i pewnem uderzeniem.

Maurycy Sieber.

DROBNE WIADOMOŚCI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE

Literackie i naukowe.

— „Kuryer lwowski“ przeszedł pod radakcję pp. *Rewakowicza* i *Spasty.*

— „Gazeta krakowska“ powiększa swój format od 1-go Kwietnia.

— Najnowszą powieść *Sewera* drukować będzie N. Reforma.

— W czwartym zeszycie „Pereł humoru polskiego“ umieszczoną będzie bardzo ciekawa „Peregrinacja Maćkowa“ z początku XVII. w. Jestto opowiadanie w rodzaju księcia Panie-Kochanku, naśladujące przytem gwarę ludową.

— „Koło artyst. literackie“ krakowskie ma zamiar wydać sprawozdanie ze swojej 3-chletniej działalności.

— „*Historji muzyki*“ wydawanej w Tarnowie przez p. Baczyńskiego (nakładem księgarni Delonga) pojawił się już zeszyt I. z portretem litograficznym Wł. Żeleńskiego.

— *Karol Brzozowski* napisał dramat w 5 aktach p. t. „Oblężenie Lwowa.“

— *P. H. Modrzejewska* z p. *Maurycym Barrymore* napisała dramat p. t. „Nadzieja,“ w którym sama występuje w Nowym Yorku.

— *J. I. Kraszewski* napisał nową powieść p. t. „Wysokie progi“ której druk rozpoczął w fejletonie „Kuryer Warszawski“.

— Nakładem księgarni Gebethnera i Wolfa w Warszawie wyszły w 5 tomach „*Poezje i dramata Wacława Szymanowskiego.*“

— Tomu III. cz. 1. powieści *Sienkiewicza* „Ogniem i mieczem“ znajduje się już pułkach księgarskich.

— *A. E. Odyńca* „Listów z podróży“ wyszło w drugiem wydaniu już dwa tomy.

Z dziedziny malarstwa, muzyki, rzeźby, teatru i architektury.

— *Witold Pruszkowski.* kończy swój nowy obraz „Spadająca gwiazda“ Praca ta ma być wystawioną w przyszłym tygodniu w salonach „Koła artystyczno-literackiego.“

— *J. Kossak* wykonał akwarellę: Longinus Podbipięta z powieści Sienkiewicza Ogniem i mieczem.

— Jeden z dawniejszych obrazów *Matejki*: „Jeńcy przed Zygmuntem III.“ przybył do Krakowa nabyty do prywatnego zbioru pana St.

— P. *Daczyński* kończy wielki swój obraz: Branki tatarskie.

— Panna *Józefina Reszkówna* bawi obecnie w Paryżu, i cieszy się uznaniem zupełnem krytyki i publiczności.

— Ś. p. *Al. Lesser* pozostawił w rękopiśmie zbiór monogramów polskich malarzy, sztycharzy itd.

— *P. Paweł Merwart*, ceniony artysta-malarz przebywający obecnie w Paryżu, wykończył portret poetki pani Ackermann, w którym krytyka francuska upatrzyła wysokie przymioty.

Zaległe rysunki dołączone zostana do pierwszego Nru 2go kwartału.